Nr. 30 (1230). Warszawa, 10 (23) Lipca 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Na Węgrzech.

Ta zaciekłość, którą widzimy od lat już kilkunastu z krótko-trwałemi przerwami w stronnictwach nierządowych sejmu węgierskiego w stosunku do Austryi, wybucha z przybytku mądrości narodowej, kierującej losami politycznymi Węgier, także i w zakresie stosunków wewnętrznych wobec wszystkich, którym pilnie czuwająca nad ojczyzną Arpada opatrzność nie pozwoliła urodzić się Węgrami. Z wyjątkiem Prus niema dziś kraju, gdzieby w tak brutalny, cyniczny sposób pastwiono się nad narodowościami łaskawie pod skrzydła swe zagarniętemi; w samych nawet Prusiech ministrowie, broniący ohydnych swych projektów, posługują się raczej kłamstwami — które nawet takiego *Temps* oszukać nie zdołały — aniżeli cynizmem okrucieństwa. Na Węgrzech patryoci, zabezpieczający przyszłość jak najdalszą swej ojczyźnie, nie wahają się wręcz brać topora do rąk, aby rąbać nim wszystko, co by się przed węgierską ideą narodową ugiąć i schylić nie chciało. Na Węgrzech niema miejsca dla nie-Węgrów; znamy jeden tylko naród — węgierski: takie jest hasło odrażające, okrutne.

Cała nieludzkość — a w zastosowaniu do Węgier nierozumu tej polityki — skrystalizowały się doskonale w mowie Banffy'ego, twórcy nowego stronnictwa, wzdychającego do dawnych rządów, intryganta, pragnącego strącić jak najprędzej Tiszę, i przez popularność walki z Austryą o wrzekomo przez nią gwałcone prawa narodowe Węgrów ponownie dostać się na stanowisko prezesa gabinetu, wyobrażającego już nietylko interesa ludzkości, ale i dążenia mniejszości sejmowej. Niewinne wystąpienie Rumuna Vlada, który nawet nie wniósł był żadnej skargi, nie wystąpił z żadnem żądaniem, tylko wytknął jednemu z Węgrów poparcie od wyborców rumuńskich, wystarczyło Banffy'emu do wygłoszenia doktryny o narodowem państwie węgierskiem. Jakiem ono być powinno, to Banffy wie najlepiej i wszystkich, którzy nie wiedzą nauczy. Więc przedewszystkiem narodynie mówiące po węgiersku mają prawo do języka własnego, lecz istotne tylko w kościele, wielce są ograniczone w szkole, żadnych zaś mieć nie mogą, jako inywidualności narodowe. Na Węgrzech jedna jest tylko polityka dobra i słuszna: polityka *szowinizmu* — tak wyraźnie powiedział — polityka któraby zdołała zapewnić Węgrom narodową samoistność.

Szowinizm, dla każdego człowieka rozsądnego wstrętny, jest dla Banffy'ego czemś czystem, rozumnem i błogosławionem. Przyjemność mu sprawia sam dźwięk tego wyrazu. Używa go też ponownie w sporze z Hedervarym o Chorwacyą — której Hedervary przez lat prawie dwadzieścia był banem. Zarzuca mu, że to jego bańtwo nie wzięło Chorwatów w kleszcze jednolitej a wyłącznej państwowości węgierskiej, nie nauczyło ich szowinizmu węgierskiego, nie przygotowało nawet do przyjęcia tej nauki. Jako minister *ad latus* Kuen-Hedervary powinien teraz stać na straży silnego ducha węgierskiego. Przyszłość państwa zespala się ściśle z przyszłością dynastyi; w porozumieniu z nią można będzie pod tchnieniem tego specyalnego szowinizmu węgierskiego zbudować węgierskie państwo przyszłości. Kiedy Banffy był ministrem kierującym, nigdy ideału nie spuszczał z oka; niezawsze mógł, ale zawsze chciał zrobić jak najwięcej z tego, co za kanon narodowy uważał. Gdy logika sama nakazała mu przy wzmiance o dynastyi wspomnieć i o uwzględnianiu dążności innych narodów na Węgrzech, z którymi dynastyi przecież walczyć nie wypada — lewica nagle sarknęła i już bez oklasków z estrady apostołowi szowinizmu zejść pozwoliła.

Lewica też nie gorzej od Banffy'ego przejęta jest głoszonym przez niego szowinizmem narodowym, jako dogmatem państwowości węgierskiej. Na punkcie tego absolutyzmu, który chce tylko pożerać i chłonąć, panuje wśród Węgrów najdoskonalsza jedność. Pchają ich do tego fizyczne, zwierzęce podniety. Wraz z Chorwatami i Bośniakami, których kiedyś posiądą, jeżeli pierwej Austro-Węgier nie rozburzą, słabsi i liczbą i płodnością — chcą nadzwyczajnym wysiłkiem państwowym wynagrodzić to, czego im nie daje narodowe skupienie i narodowa dzielność. Wszystkie żłobki, instytucye barbarzyńskie w cywilizacyi i środkami jej urządzane, wszystkie szkółki, ochronki, przytułki — wsysające w siebie niemowlę i dziecię słowackie — wszystkie szkoły, gimnazya, kwalifikacye, nakazy i zakazy — powstają z tej wielkiej: co będzie z nami, jeśli uszanujemy prawa i sprawiedliwość? Czyliż i jak zbudować zdołamy kiedykolwiek państwo swoje bez krzywdy, a zachować narodowość swoją bez państwa? Zagadnienia rozwiązywane w sposób wręcz prowadzący do zguby. Narodowości węgierskie nie dadzą się strawić w czasie na ujednostajnienie masy państwowej, węgierskiej potrzebnym, a walka z niemi kształci je tylko w poczuciu własnej indywidualności i uczuciu indywidualnej nienawiści

i do węgierskiego narodu, i do węgierskiego państwa. W godzinie przeznaczeń i Sas-Niemiec, i Rumun, i Słowak, i Chorwat, i Rusin — wszyscy znajdą się w obozie wrogim ojczyznie Arpada, a przy tych czynnikach sąsiedztwo Rumunii i półwyspu Bałkańskiego — rzucić powinno na „szowinizm specyalnie węgierski“ klątwę rzetelnego patryotyzmu węgierskiego.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Na początku bieżącego tygodnia jeszcze nie było poważnego doniesienia, nietylko o zajęciu Niuczuangu nadmorskiego (Inkau), ale nawet o prowadzących do zajęcia działaniach Japończyków. Pomimo braku dobrych map i rzetelnych wykazów sił obustronnych— czego podczas działań samych ani oczekiwać, ani tem bardziej wymagać nie można — prawdopodobieństwo jednak jest po stronie domniemania, że nagromadzenie większych sił rosyjskich w Daszy-tsao, o jakie 30 kilometrów od zajętego w d. 9 b. m. przez Japończyków Kaipingu, nakazał im działać współcześnie na oba punkta, a takie znowu działanie wielkiemi tylko i należytą od wschodu i południa podstawę mającemi siłami przeprowadzone być może. Na zapewnienie sobie tych warunków dowództwo japońskie potrzebowało czasu i zapewne cały ubiegły tydzień mu poświęciło. W przewidywanym ruchu zaczepnym uczestniczyć będą wojska obu armij liaotuńskich: gen. Oku i gen. Nodzu. Do d. 16 b. m. nie było na tej części widowni żadnych większych starć: w potyczce z d. 13 b. m. raniony gen. Rennenkampf. Rozprawy między strażami przedniemi wskazują zachodzenie Japończyków na oba fronty powyższe.

Działanie na linię Hai-czeng—Liao-jang, które w planie Japończyków nie utraciło rdzenności, jaką miało już w d. 1 maja, doznało zastoju nietylko wskutek deszczów, w których zresztą nastała przerwa, ale i wskutek choroby Kurokiego. Przybycie naczelnego wodza, Ojamy, ożywiło sztab japoński w tej stronie i ze sprawozdań gen. Sacharowa widać, że Japończycy nietylko nie zrzekli się ważnych pozycyj Saimatsi na północo-wschodzie, Motien w środku, na jednym równoleżniku z Sai-ma-tsi, Fön-szui i Dai na zachód i południe od poprzednich, bliżej Hai-czengu, Da-szy-tsao, ale, że trzymają wszystkie wąwozy górskie w górach Tiang i Fön-szui, aby się nie pozbawić podstawy do ruchów naprzód, a łączników niezbędnych z etapami w tyle. Czy skłonność do obejścia Liao-jangu od północy wcieli się w ustalony już plan działania — przewidzieć jeszcze nie można. Tem lekkomyślniejsze jest nadawanie zamiarom japońskim kierunku aż na Mukden, o jakie 200 kil. od Kai-pingu (Kai-czeng) odległy. Gdyby nawet obie armie, powołane do działań na linię rzeki Liao-jang liczyły, jak doniesiono, 170 tys. wojska i 670 dział, zerwanie się Japończyków nagłe na północ dałoby się pojąć tylko jako czyn nierozwagi.

Deszcze nie powstrzymały zapędu bojowego i około Portu Artura. Admirał-namiestnik Aleksiejew donosi o działaniach w d. 3, 4 i 6 b. m. — opóźnienie jest skutkiem przeciętych komunikacyj. Najzaciętszy bój toczył się tutaj o ważną pozycyę Lun-uan-tau. Biuletyn mówi: że Japończyków powstrzymano w pochodzie ku twierdzy; ogół strat dochodzi do 4 ofic., 35 żołn. zabitych, 7 oficerów i 268 żołn. rannych. Podczas walki dopomagał wojskom lądowym „Nowik“ wraz z kanonierkami i torpedowcami. Japończycy zupełnie już oczyścili Dalny i Talien-uan i wysadzają wojska — na początku miesiąca całą dywizyę z 50 działami. Mają tu bardzo liczną, na 250 dział ocenioną artyleryę, w niej zaś i działa oblężnicze.

Starć na morzu nie było. Przez Dardanele i Bosfor wypłynęły statki floty ochotniczej z materyałem wojennym. Pewna ich liczba z pomocą kanonierek zatrzymała się na morzu Czerwonem i rewiduje statki podejrzane, angielskie i niemieckie. „Smoleńsk“ zabrał pocztę przeznaczoną do Japonii. W parlamencie angielskim wniesiono interpelacye, tak o te rewizye, jako też o sekwestrowanie statków na m. Chińskiem i Japońskiem.

Na półwyspie Bałkańskim nowe wrzenie. Podłożono dynamit na drodze żelaznej salonickiej, wysadzono w powietrze most. W samej Salonice zapowiedź wybuchów w stylu przeszłorocznym. Zbrojni Bułgarowie napadają na osady tureckie; parę tygodni temu tłumy sfanatyzowane rzucały się na wsi greckie, aby im wydzierać świątynie i szkoły. Albańczycy także nanowo się odgrażają. Granica bułgarska stoi dla band otworem, a wszystkie zapewnienia i układy z Nacewiczem są tylko szyderstwem z prawdy. Porozumienie z Serbią nadaje temu wrzeniu wagę niezaprzeczoną.

W Tryeście władze austryackie wykryły w lokalu zabaw towarzystwa Societa gimnastica dwie machiny piekielne i przygotowane do naboju ciała wybuchowe. Uwięziono kilkanaście osób, z nich prezesa, Mracha uwolniono; kilkanaście zbiegło do Włoch.

W Peszcie rozprawy nad listą cywilną dla króla i arcyksiążąt zajęły sejmowi cały ubiegły tydzień; zakończenia ich spodziewano się dopiero we środę bieżącego tygodnia.

Minister przyrzekł odwiedzić Galicyę na jesieni, aby ją poznać: nie pozna, tylko otumani. Teraz już *Czas* zaczyna wmawiać w czytelników swoich pożytki podróży, jako poważnego aktu politycznego.

Stosunki między Watykanem a Francyą kształtują się ostrzej, niż tu przewidywano. P. Nisard jest stanowczo odwołany, a nawzajem biskup Laval, trzymający z rządem, ma być zrzucony z katedry, p. Combes jednak strącić go nie pozwoli. Nuncyusz Lorenzelli bawi ciągle w Paryżu, „bawi“ bo nie urzęduje. Zamykanie szkół zakonnych, wogóle kongregacyjnych, trwa bez przerwy, dokonywane całymi departamentami. Dotychczas zamknięto lub zamknąć postanowiono 2,400 takich uczelni, 1,162 mają uledz temu samemu losowi w ciągu lat 10.

Anglicy po otrzymaniu posiłków i wysłaniu ultimatum wyruszyli ku Lhassie.

Arnold Forster, angielski minister wojny, zapowiedział nową reformę wojskową. Mają być zmniejszone wojska ochotnicze z 3-m zaciągiem, zato pomnożone kolonialne. Służba powszechna ciągle jeszcze stanowi przedmiot odrazy; rząd do czasu jeszcze politykować musi z narodem.

Nad jeziorem genewskiem w Clarens zmarł pierwszy i ostatni prezydent Rzeczypospolitej Transwalskiej, aż do ostatniej, tragicznej wojny dzielny Krüger.

Meksykanie obrali sobie znowu na prezydenta znakomitego Porfiria Diaza, siedemdziesięciokilkoletniego starca: ustanowili też wiceprezydenturę.

---

3)

Leonidas Andrejew.

W mglistą dal.

(Dokończenie).

Boże Narodzenie nadeszło, w tym bogatym domu ponure, smutne. Obecność człowieka, który nie podzielał ani uczuć, ani myśli otaczających, dusiła wszystkich, jak zmora i odejmowała świętu nietylko jego wesoły charakter, ale wszelki sens. Zdawało się, że Mikołaj sam zauważył, jak przygnębiająco działał na drugich i nie wychodził prawie ze swego pokoju, lecz wtedy stał się jeszcze bardziej strasznym. Na kilka dni przed Bożem Narodzeniem u Barsyków zebrali się wypadkowo goście; Mikołaj nie wyszedł do nich, jak wogóle nigdy nie wychodził do nikogo z obcych i leżał w ubraniu na łóżku, słuchając dźwięków muzyki. Dochodziły przyciszone przez grube ściany i wydawały się melodyjne i pieszczotliwe, jak śpiew daleki głosów czystych i pewnych: tak miękko wchodziły w ucho, jakby wraz z nimi powietrze śpiewało. Mikołaj wałuchiwał się i przypomniał sobie czasy, gdy był małym chłopcem, gdy matka jeszcze żyła i goście przychodzili często, a on zdała słuchał też muzyki i marzył. Przesuwały się przed nim nie obrazy, lecz coś, w czem kształty i dźwięki splatały się w jakąś jaskrawą, dręcząco-piękną całość, wijąc się barwną, śpiewającą wstęgą. Rozumiał wtedy, co znaczy owo jaskrawe, dręcząco-piękne coś, ale nie mógł nikomu, nawet sobie, tego wytłomaczyć; więc starał się tylko, jak można najdłużej nie zasnąć— i zasypiał. Raz usnął w ten sposób, przez nikogo niezauważony, w przedpokoju na szubach i jeszcze teraz wyraźnie pamiętał zapach puszystego, łaskocącego futra. I znowu dreszcz niepojętego strachu przebiegł po jego ciele, ale jednocześnie coś miękkiego i ciepłego rozjaśniło mu twarz, jak gdyby pieszczotliwa, delikatna dłoń wygładziła zmarszczone brwi. Trudno było orzec, czy Mikołaj spał, czy czuwał, żywy był, czy umarły, lecz jedno było pewnem: ten człowiek odpoczywał.

W wigilię, o zmroku zjawił się u Mikołaja Fenogen Iwanycz. Był prawie trzeźwy, pochmurny i patrzał bokiem, a w oczach jego migotały jakby ślady łez.

— Niech pan, z łaski swojej, pójdzie do babci — powiedział odo drzwi.

— Co takiego? — zdziwił się Mikołaj.

Fenogen Iwanycz westchnął i powtórzył:

— Niech pan, z łaski swojej, idzie do babci.

Mikołaj poszedł na górę i zaledwie przestąpił próg, gdy dwie wątłe, dziewicze ręce objęły jego szyję, do jego twarzy przylgnęła delikatna twarzyczka o szeroko rozwartych, wilgotnych oczach, głos tamowany przez łzy, wyszeptał:

— Kola, Kola, jakeś ty nas męczył! Kola, Kola, braciszku kochany, pogódź się z ojcem. I ze mną. Zostań z nami!

I drobne, chude ciało dygotało w jego rękach, a maleńkie, nikomu niepotrzebne serce wyolbrzymiało tak, że cały świat z jego nieskończonym bólem mogłoby pomieścić. Mikołaj chmurnem, z podełba spojrzeniem obrzucił pokój. Z łóżka wyciągały się ku niemu straszne w swej bezkrwistej chudości ręce babki, i głos jej, w którym już słychać było podźwięki innego życia, prosił płaczliwy i ochrypły:

— Kola! Kola!

Na progu zaś płakał Fenogen Iwanycz. Stracił całą powagę, i wciągał nosem, ruszał ustami i brwiami, a łzy wylewał w takiej obfitości, takim strumieniem płynęły one po jego twarzy, że zdawało się, iż sięsączą nie z oczu, jak u wszystkich ludzi, lecz ze wszystkich porów ciała.

— Przyjacielu mój! Miciu! — szeptał błagalnie, wyciągając ręce wraz ze spoczywającą w nich czerwoną chustką.

Mikołaj bezradnie, boleśnie się uśmiechał, nie wiedząc o tem, że z jego orlich, nagle przygasłych oczu, padają rzadkie, skąpe łzy. Wtedy z ciemnego kąta wysunęła się na światło starczym dygotem wstrząsana, bezsilna głowa człowieka, który był jego ojcem, a którego całe życie było dla Mikołaja nienawistnem i niepojętem.

Teraz jednak zrozumiał. Porwany tym samym szałem miłości, którym przeniknię-

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy)

Jak grzebali swych przodków staro-żytni Korejczycy — nie wiadomo. Słabą, ale donioslą wzmiankę w tym przedmiocie znalazłem jedynie w króciutkiej uwadze niewiadomego autora: „Niektórzy pisarze wspominają o obyczaju pewnych tunguskich plemion głodzenia, zjadania lub palenia starców żywcem. Francusko-korejski słownik wykazuje, że zwyczaj ten do niedawna istniał w Korei. Griffis mówi o nim (str. 83 *): „Przypuszczenie, że Korejczycy powstali ze zlewu plemion południowych z plemionami północnymi, przybyłymi z nad Amuru, ma cechy prawdopodobieństwa, przeto panowanie u nich zwyczaju zabijania starców, właściwego licznym plemionom tybetańskim, nie przedstawiałoby nic nadzwyczajnego **). Za takie pozostałości starodawnych obyczajów należy uważać wyrzucanie nieboszczyków wprost na otwarte powietrze, pod lekkiem pokryciem ze słomy, co jest dotychczas w użyciu w okolicach miasta Kuń-san (Półn. Cziola).

Palenie ciał, powszechne za panowania dynastyi Silla i Korio, zostało wzbronione z upadkiem buddyzmu i obecnie utrzymuje się tylko wśród mnichów buddyjskich. Panujące teraz obrzędy pogrzebowe, całkowicie zapożyczone z Chin, są surowo przestrzegane w całym kraju i obowiązują pod grozą kary sądowej. Rozwijają się one logicznie na tle dwóch zasad: czci dla rodziców i wiary w nieśmiertelność duszy.

Według pojęć korejskich, człowiek ma trzy dusze *). Po śmierci, jedna z nich wciela się w pozostającą w domu „tabliczkę" nieboszczyka (uj-pha), druga zamieszkuje w jego mogile pod opieką ducha gór, wcielonego w nagrobny kamień (tu-di), trzecia udaje się w świat nieznany „dziesięciu sędziów," skazujących ją, zgodnie z jej życiem na ziemi, do kraju wiecznego szczęścia lub do jednej z dzielnic piekielnych. Wiodą ją przed oblicze tych sędziów (sa-dza) wysłańcy z podziemnego państwa! Zgodnie z pojęciem, że te dusze są zupełnie do zmarłego podobne, obrzędy pogrzebowe mają na celu dostarczenie mu wszystkich rzeczy potrzebnych w długiej podróży i następnem życiu, a uczucia synowskie i cześć dla nieboszczyka znajdują wyraz w lamentach, głośnym płaczu, poście i ciężkiej żałobie dzieci oraz bliższych krewnych (w linii męzkiej).

Aby duszę zatrzymać jak najdłużej w ciele, starają się w domu konającego i w pobliżu uniknąć wszelkich dźwięków. Umierającego mężczyzny doglądają wyłącznie mężczyźni. Z początkiem konania przenoszą chorego na szeroką deskę, pokrytą matami, a pod głowę kładą mu poduszkę. Twarz konającego powinna być obrócona na południe. Po skonaniu natychmiast zatykają mu usta watą, aby zatrzymać resztki, zostającego w ciele „oddechu," który ma własność zabijania wszystkiego, co żyje w pobliżu. Przedtem wszelako obecni próbują pałeczkami otworzyć zamknięte szczęki zmarłego, aby przekonać się, czy śmierć nastąpiła istotnie. Jeżeli zmarł ojciec rodziny, to syn najstarszy zamyka mu oczy. On również, jeżeli kochał ojca, obowiązany był przygotować dlań zawczasu piękną odzież pośmiertną. Do mniej powszechnych zwyczajów pogrzebowych należy „tan dżi":

„Gdy śmierć od choroby lub starości grozi ukochanej osobie, Korejczyk w rozpaczy gryzie zębami lub rozcina nożem palec i krwią swą karmi umierającego. Bardzo często palec zostaje całkowicie odcięty. Jest to jeden z najwyższych czynów najwyższej żałości. Jakie jest pochodzenie tego zwyczaju, powiedzieć nie umiem, lecz taką opowiadano mi o nim legendę: Przed laty matka leżała konająca, podczas gdy jej nieletnie dziecię, nieświadome zbliżającego się nieszczęścia, bawiło się w otwartych drzwiach. Gwałtowny podmuch wiatru przycjął drzwiami rękę malca i brzydko rozciął mu palec. W strapieniu dzieciak popełznął do swej umierającej matki i wsunął zraniony palec w jej usta. Smak krwi dziecięcej przywołał ją do życia. Zaczęła przychodzić do siebie i ostatecznie całkowicie wyzdrowiała. Tak więc, niebiosa posłały wiatr dla nauczenia Korejczyków nowego sposobu wyrażania najwyższej żałości.. — kończy autor, Europejczyk, swoją wzmiankę o tym obyczaju *). Należy raczej widzieć w nim odbicie chińskiego przesądu, że krew ludzka może wrócić zdrowie, a nawet życie umierającym i powtórzenie zmienionej legendy o cnotliwej córce, która dla uratowania życia rodzicom wytoczyła krew własną.

Natychmiast po zgonie wnoszą do pokoju, gdzie ciało leży na desce, mały stolik z trzema misami ryżu, trzema miskami grochowego kisielu i trzema czarami wódki ryżowej (suli), obok kładą trzy pary słomianych sandałów, trzy łokcie tkaniny perkalowej, tyleż łokci płótna, trzy arkusze papieru i płaszcz... dla trzech dusz nieboszczyka. Następnie wywołują trzykroć imię jego i jadło wyrzucają za drzwi, a rzeczy palą na dworze. Zabierają je dusze oraz wysłannicy podziemni, odprowadzający jedną z nich „do dziesięciu sędziów." Jednocześnie sługa wynosi odzież nieboszczyka na dach i, ująwszy ją jedną ręką za kołnierz, a drugą rozsuwając fałdy, zwraca się na północ, dokąd odchodzą wszystkie dusze, z trzykrotnem wezwaniem imienia nieboszczyka, w nadziei, że dusza jego może powrócić do ciała. Po zejściu na dół sługa tem ubraniem pokrywa zmarłego. Tymczasem w podwórzu naprzeciw wejścia pospiesznie, obyczajem chińskim, budują altanę z mat, wysłaną matami, gdzie umieszczają stół z jedzeniem dla

*) „The China Review," Vol. XIV, str. 224. „Human Sacrifices in Corea."

**) Obyczaj ten istniał do niedawna wśród Czukczów, ostatnie takie zabójstwo miało miejsce w latach 70 zeszłego stulecia i zostało opisane przez Augustynowa. Przy mnie został zabity przez syna na własne żądanie bogaty Czukcza z tundry zachodniej (Małej). Wśród Jakutów i Tunguzów podania o zabójstwie starców zachowały się bardzo żywo („12 lat w kraju Jakutów," str. 296).

*) Wierzenia Jakutów w „trzy ludzkie dusze" i związek ich z „trzema częściami ciema." („12 lat w kraju Jakutów," str. 382).

*) „The Korean Repository," June 1897 r. str. 228

---

ta była jego nienawiść, rzucił się do ojca. I wszystko troje, zbici w jeden kłębek, płakali, obnażając swe serca, wzruszeni tworząc przez chwilę jedną wielką istotę o jednem sercu i jednej duszy.

— Został — ochrypłym tryumfującym głosem wołała staruszka — został.

— Tak! Tak! — mówił Mikołaj, nie zdając sobie sprawy, komu i na co odpowiada. — Tak, tak. — powtarzał, całując drżącą rękę, która z niewypowiedzianą tkliwością głaskała go po głowie i twarzy.

— ...Tak! tak! — powtarzał ciągle, czując już, jak w duszy jego wyrasta groźne nieubłagane, krótkie i tępe „nie."

Nadciągała noc i cały, wielki dom, od izby czeladnej do pokojów państwa, rozbłysł światłami. Ludzie gwarzyli wesoło i głośno się nawoływali; maleńkie, kruche i cenne przedmioty nie bały się już o siebie. Patrzały dumnie ze swych miejsc na krzątających się ludzi, bez lęku okazując swą piękność; zdawało się, że wszystko w domu im służy i chyli się przed ich kosztownem istnieniem.

Aleksander Antonowicz, Ninetka, nawet student siedzieli wciąż jeszcze w pokoju babki i mówili o swem szczęściu, lub wałuchiwali się w nie w milczeniu. Fenogen Iwanycz, który z radości podpił sobie znowu, wyszedł na powietrze, żeby nieco ochłonąć i właśnie, kiedy gładził rękoma czerwoną łysinę, na której płatki śniegu topniały, jak na rozpalonej blasze, zobaczył ku wielkiemu swemu zdumieniu Mikołaja. Trzymając w ręku niewielki tłomoczek, wyszedł on z za węgła, gdzie się znajdowały boczne schody, i również nieprzyjemnie zdziwił się na widok Fenogena Iwanycza.

— A, Fenogeszka! — rzekł cicho. — Odprowadź mnie do bramy.

— Przyjacielu... — bełkotał, strapiony Fenogen Iwanycz.

— Milcz! tam pomówimy.

Ulica była pusta zupełnie, oba jej końce ginęły w białawych tumanach śniegu, padającego wolno i cicho.

Stanąwszy przed Fenogenem i patrząc mu prosto w twarz swemi błyszczącemi, wypukłemi oczyma, Mikołaj oparł na jego ramieniu rękę i rzekł wolno, jakby ucząc dzieciaka:

— Powiedz ojcu, że Mikołaj Aleksandrycz kazał się kłaniać i powiedzieć, że — poszedł.

— Dokąd?

— Po prostu, poszedł. Żegnaj!

Mikołaj poklepał lokaja po ramieniu i odwrócił się od niego. Ale Fenogen Iwanycz bez wyjaśnień wiedział, dokąd pójdzie Mikołaj i z całą siłą, jaką miał w rękach, chwycił go:

— Nie puszczę! Jak Bóg w niebie, nie puszczę!

Mikołaj odepchnął go i spojrzał zdziwiony. Fenogen Iwanycz złożył błagalnie ręce i, łkającym głosem, prosił:

— Nikoleńka! Przyjacielu jedyny! Pluń na to! Nie chodź! Co ci po tem? Pieniądze przecie są. Trzy fabryki. Domy. Akcye codzień obcina — powtarzał bezmyślnie słowa gospodyni.

— Co ty pleciesz?

Mikołaj nachmurzył się i ruszył naprzód wielkimi krokami. Ale Fenogen Iwanycz, uroczysty, odświętnie ubrany, choć rozstrojony i jakby pomięty, biegł za nim, chwytał go za ręce i błagał:

— To i mnie! I mnie weź. Niech tam. Gołąbku. Między zbóje, to między zbóje! — i Fenogen Iwanycz rozpaczliwie machnął ręką, żegnając świat uczciwych ludzi.

Mikołaj stanął i, milcząc, spojrzał na służącego, a w jego wzroku błysnęło coś tak strasznego, tak zimno-okrutnego i rozpaczliwego, że Fenogenowi język zdrętwiał, a nogi wrosły w ziemię.

Wysoka postać Mikołaja szarzała i nikła, topniejąc w szarej mgle. Chwila jeszcze — i znikł nazawsze w ciemnej, złowróżbnej dali, tam, skąd przyszedł tak nieoczekiwanie. I już nic żywego nie było widać w bezludnej przestrzeni, a Fenogen Iwanycz wciąż jeszcze stał i patrzał. Wykrochmalony jego kołnierzyk zmiękł i przylgnął do szyi; płatki śniegu zwolna topniały na czerwonej, zziębniętej łysinie i spływały razem ze łzami po twarzy szerokiej, wygolonej.

Przeł. *Bruno Winawer.*

dusz nieboszczyka. Wybierają z najbliższych krewnych przewodniczącego i przewodniczkę pogrzebu dla mężczyzn i kobiet. Wtedy dopiero przystępują do obmywania i obłóczenia ciała. Ale przedtem obecni, wyjąwszy przewodniczącego, wychodzą na podwórze i stają u południowej strony namiotu twarzą na północ z głośnym krzykiem i płaczem.

Nieboszczyka rozbierają, zaczesują mu włosy po korejsku do góry i związują w pęczek na czubku, poczem ciało obmywają wodą pachnącą i wycierają ręcznikiem. Obcinają mu paznokcie na rękach i nogach a zrzynki z każdego palca chowają starannie do osobnych, małych woreczków; do osobnego również woreczka składają wyczeski włosów, a wszystko następnie umieszczają w trumnie, gdyż dla uniknięcia przyszłych powikłań żywych z umarłymi nic nie powinno pozostać na ziemi z chowanego nieboszczyka. Wodę od mycia wylewają, grzebienie, ręczniki wyrzucają do osobnego dołu na podwórzu.

Do ubierania przenoszą zmarłego na inną deskę, pokrytą matami i kołdrą. Wdziewają mu na gołe ciało watowaną odzież, a na nogi watowane pończochy i czarne trzewiki z grubą podeszwą papierową, poczem przewijają go przez pół powijakiem jedwabnym oraz płóciennym, a z wierzchu oblekają w perkalową lub jedwabną, powłóczystą odzież, ściągniętą pasem. Pas kobiet i urzędników zawsze jest koloru czerwonego.

Ten, co ubierał nieboszczyka, po umyciu rąk, umieszcza na stoliku obok ciała kawałek mięsa, trochę zupy i papier z tkliwym i pochwalnym życiorysem zmarłego; następnie wylewa trochę wódki na wschodniej stronie, poczem zaczyna się karmienie nieboszczyka kaszą jaglaną. Bogaci Korejczycy do kaszy dodają trochę pereł i kawałek nefrytu w celu zabezpieczenia ciała „od szybkiego gnicia.“ Przewodniczący pogrzebowi zrzuca odzienie z lewego ramienia, umywa ręce i z płaczem podchodzi do nieboszczyka to ze wschodniej, to z zachodniej strony, wreszcie staje naprzeciw i napełnia mu otwarte przemocą usta kaszą z perłami. Aby kasza nie wypadła, zawiązują natychmiast usta białą chusteczką perkalową a oczy czarną przepaską, uszy zatykają mu watą, twarz pokrywają muślinem i zarzucają na głowę czarną chustkę jedwabną, której końce ściągają z tyłu na węzeł. Ręce również obwiązują czarną chustą i całe ciało pokrywają kołdrą.

Całą noc palą się wkoło nieboszczyka świece, stoi krzesło ze złożonemi na niem jego rzeczami; na stole są przygotowane: wódka, miednica z wodą, zmienianą dwa razy dziennie, grzebyk, ręczniki, świeca, pudło z tymiankiem i kadzielnica. Wszystko czeka na duszę nieboszczyka, której wizerunek leży na odzieży w postaci białej, jedwabnej wstęgi, długiej 3—4 łokci. Stoi tam prócz tego pudło z papierami, palonymi wciąż podczas ceremonii, a z prawej strony wysoki drążek z czerwoną chorągiewką, na której białemi literami wypisane są imię, nazwisko, miejsce urodzenia i godność zmarłego.

Dla odstraszenia złych duchów drążek kończy się ostremi widełkami.

Nazajutrz wdziewają na trupa jeszcze jedno wierzchnie ubranie, które może być kolorowe; kobiety ubierają w spódnicę i długą szatę pasem przepasaną. Nieboszczyk następnie jeszcze raz zostaje przeniesiony na inną deskę, pod głowę mu kładą już nie poduszkę, lecz pozostałe, własne jego ubranie. Pasy i zawiązki na trupie na chwilę rozwiązują znowu w oczekiwaniu, czy życie nie wróci doń czasami. Zjawiają się czterej opowiadacze, którzy żałosnym głosem kreślą bieg życia i zasługi zmarłego. Palą jednocześnie tymianek i papier, oblany spirytusem.

Trzeciego dnia ciało wkładają do trumny, zbitej z grubych desek, u bogatych ładnie lakierowanej, ozdobionej i wybitej wewnątrz jedwabiem. Ubodzy malują ją na czarno i wykładają papierem. Dno grobu jest grubo wysypane miałem węglowym i pokryte papierem, na który kładą następnie deskę z siedmioma dziurkami, wyobrażającemi gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy — jedyny ślad dawnych wierzeń korejskich w ich spółczesnych obrzędach pogrzebowych *). Dno wyściełają kołdrą, w głowach kładą poduszkę, poczem synowie nieboszczyka przy pomocy młodszych braci i sług, umywszy ręce, przenoszą ciało do trumny i umieszczają w niej po rogach woreczki z zrzynkami paznokci, z włosami i zębami, które jeszcze przy życiu wypadły nieboszczykowi. Pustą przestrzeń między ciałem i ścianami trumny wypełniają pozostałą odzieżą zmarłego oraz watą, wszystko nakrywają dwoma pokrowcami, zwanymi „niebiosami“ i zamykają wieko.

Szczelnie zabita, obmazana smołą, woskiem i lakiem trumna stoi zwykle czas jakiś na dworze, głową zwrócona na południe. Pogrzebanie winno nastąpić u wieśniaków po 3 dniach, u zamożniejszych po 9 dniach; członków domu panującego chowają po 9 miesiącach. Zwykle jednak nawet ubodzy ociągają się z pogrzebem do tygodnia, a zamożni Korejczycy trzymają zmarłych po 3 miesiące i więcej.

Pośpiech w grzebaniu uważany jest za wielce nieprzyzwoity. Trumna stoi na podwórzu, za parawanem, obok niej w porze zwykłego posiłku stawiają strawę, którą lubił nieboszczyk, kwiaty i owoce, a co rano służba zmienia wodę i ręczniki.

Nareszcie miejsce szczęśliwe na mogiłę i dzień pogrzebania zostały wybrane przez wróżbitę (pań-su). Doły przygotowują zawczasu z rozmaitemi ceremoniami. Przedewszystkiem na północ od oznaczonego miejsca wkopuje się wysoki na stopę kamień „tu-di,“ przedstawiający ducha-stróża mogiły. Następnie zrana w dniu przeznaczonym na kopanie dołu, po spełnieniu obowiązkowych lamentów u ciała przychodzi przewodniczący pogrzebowi w towarzystwie krewnych i wróżbitów na wyznaczone miejsce i wtyka w ziemię znowu *siedem* (ilość gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy) gałązek śliwowych; gałązkę w głowie, gałązkę w nogach, gałązkę pośrodku i 4 gałązki po rogach. Poczem koło środkowej gałązki słudzy stawiają misy z jadłem i wódką ryżową **). Następnie idą do stojącego koło kamienia „tu-di“ stołu i klękają, palą tymianek, kropią ziemię wódką i spalają papierki w wielkiej miednicy, wciąż bijąc czołem. Wreszcie przewodniczący też klęka u wytkniętej mogiły z gorzkim płaczem i dwakroć czołem uderza. Słudzy przystępują wówczas do wykopania dołu, który jest zazwyczaj dość głęboki i wysypany na dnie piaskiem i wapnem.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

*) J, B. Bishop mówi, że ubieranie zwłok nieboszczyka dopełniało się na „desce gwiaździstej,“ którą zapewne wkładano następnie do trumny, gdyż Korejczycy mówili o niej „deska gwiaździsta.“ („Korea“ and Her Neighbors, str. 287.

**) M. A. Pogio mówi, że częste umywanie rąk i kadzenie tymiankiem rzuca się w oczy przy pogrzebach korejskich. Jako potrawy ofiarne wymienia: jedno podanie mięsne, jedno jarzyny gotowanej, jedno świeżej ryby, misę octu, koło pięciu czar rozmaitego rodzaju zup, półmisek wieprzowiny, półmisek majonezu z ryb i bażanta, misa morskiej kapusty (nazwa błędnie podana „mao“ należy „maeogi“ — *przyp. tłom.*), kilka koszów z owocami, czara araku („suli“ — wódki ryżowej). Cebula i czosnek są usunięte z potraw ofiarnych. Na stole stoją: kadzielnica, pudło z tymiankiem, świeca, czara z arakiem i łyżka. Spełnienie ofiary polega na zawinięciu części pokarmu w papier i spalenie ich. („Korea,“ niem. tło.m., str. 155). Resztę pokarmu zjadają słudzy, wróżbici, goście, domownicy. U biednych, rozumie się, że dań jest o wiele mniej i składają się przeważnie z jarzyn. Zdziwiła mię okoliczność, że w spisie Pogio nie znalazłem ryżu, nie zdążyłem sprawdzić, czy to wypadek, czy obyczaj.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Wakacye. — Chwilowe z tego powodu ożywienie w prasie, a później cisza. — Jak kochamy młodzież. — Sama młodzież powinna o sobie pomyśleć. — Czy ona to zrobi. — Pro i contra w tej kwestyi. — Co będzie?

Gdy przeglądam szpalty dzienników a w nich listy młodzieży, kończącej wszelkiego rodzaju zakłady naukowe, nasuwa mi się na myśl pytanie, gdzie też oni pojadą na wakacye?

Dzisiejsze, moje „Rachunki“ zamierzam specyalnie tej sprawie poświęcić, pomówić trochę na temat, jak wypoczywa przyszłe pokolenie naszych działaczy i obywateli. Rzecz to wszystkim znana, że społeczeństwo nasze kocha ogromnie młodzież, choć coprawda ta miłość czasami bywa dziwną.

Dlaczego np. ta sama prasa, co chrypnie od wołania o pieniądze w przeddzień fatalnej „czternastki,“ nie piętnuje wielce szanownych i szanowanych mecenasów, niepłacących wcale lub też płacących 10 rb. miesięcznie swoim dependentom-studentom za ośmiogodzinną często pracę? dlaczego pomija milczeniem, dochodzące zewsząd, skargi na bezlitosny wyzysk studentów-korepetytorów? Ciekawem byłoby też wyjaśnienie, dlaczego utonął w morzu niepamięci, projekt dr. Paderewskiego z Zagłębia Dąbrowskiego, który w roku zeszłym radził przyjmować do szpitali prowincyonalnych, medyków z wyższych kursów w charakterze praktykantów płatnych. Co ten projekt pogrzebało? niechęć lekarzy prowincyonalnych do „kolegów“ młodszych, czy apatya prasy, uznającej rzecz całą za zbyt błahą?

Dzięki też tym „dziwnym“ objawom miłości naszej prasy względem młodzieży, nie zdziwił mię brak w pismach odpowiedzi na moje zapytanie, dokąd ta cała młodzież na wakacye pojedzie, i co ona podczas wakacyj robić będzie? Dziś już ta sprawa przestała być aktualną, a jednak... przydałoby nam się choć słabe pojęcie o tem, jak spędza czas wypoczynku nasze młode pokolenie. Wielu nie wyobraża sobie innych wakacyj, jak na wsi, w pełni wiejskich rozkoszy, rozrywek, bez troski o dziś, bez myśli o jutrzu. Może przykrem będzie przekonanie, że czas w ten sposób upływa dla bardzo niewielu, że ogół przeważnie pcha dalej swą taczkę pracy zarobkowej tak na prowincyi, jak w mieście w dusznych kancelaryach, przy podwójnej ilości korepetycyj.

Ta strona życia młodzieży w czasie wakacyjnym nie jest nam zresztą znana. Ani cyfr, ani szkiców, o tem jak i gdzie nasza młodzież odpoczywa w tak oryginalny sposób, że podwójnie pracuje, nie mamy. Znamy zastęp, reprezentujący ją w salonach, a ci, co do niego należą, przeważnie wypoczywają w letniskach i na wsi, wesoło się bawią, jak się bawili w Warszawie przez rok cały i tak bardzo o los swoich pracujących kolegów się nie troszczą. Należałoby jednak pomyśleć o jakiejś akcyi zbiorowej w łonie młodzieży samej w tej sprawie. Czem są wakacye dla orga-

nizmu dojrzewającego, a przepracowanego, o tem wie każdy. Czy to więc nie jest zerwaniem zasad solidarności i koleżeństwa, choć może mimowolnem, taka całkowita obojętność na losy znacznego odłamu kolegów ze strony tych młodych, którzy mogliby coś w tym kierunku zdziałać?

Sądzę, że nie byłoby znowu tak trudno zorganizować siłami młodzieży energiczną akcyę pod hasłem: wakacye dla wszystkich! Narazie musielibyśmy się zająć zgromadzeniem materyału dla zobrazowania obecnego stanu wypoczynku wakacyjnego. Tego oczywiście powinna dokonać sama młodzież. Niepoślednie miejsce należałoby przyznać grupom wycieczkowym, ułatwiającym poznanie różnych okolic kraju, wykonanie całego szeregu prac, mogących z czasem przynieść dochód wycieczkowiczom; dość wspomnieć zaniedbane u nas zupełnie badania przyrodnicze, antropologiczne, etnograficzne, ekonomiczne, statystyczne itd., które stopniowo dałoby się niezawodnie ująć w systematyczną działalność i których wyniki zebrane i uporządkowane mogłyby stanąć na półkach księgarskich jako specyalne wydawnictwa, stanowiące bogaty materyał dla dzieł uogólniających i stały dochód dla swych wykonawców, który choć w części zastąpiłby może watrętną żebraninę na wpisy ze strony prasy. Ogromną rolę w tej akcyi musiałaby odegrać jakaś instytucya pośrednicząca, do której mogliby się udawać zarówno pracownicy, jak i pracobiorcy wakacyjni. Zadaniem takiej instytucyi byłoby uregulowanie kwestyi tej pracy przez uwzględnienie przedewszystkiem zapotrzebowań zamiejscowych, co pracę w Warszawie i miastach większych, postawiłoby w warunkach korzystniejszych, zapewniłoby jej wynagrodzenie sprawiedliwsze.

Oto mniej więcej, co na razie mi na myśl przychodzi w kwestyi uregulowania palącej — mojem zdaniem — kwestyi wakacyjnej u nas. Jest to rzecz, nad którą szczególniej młodzież zastanowić się winna. Jak widać, myśl ta zaczyna zresztą wśród niej już kiełkować jednocześnie na wielu punktach i w wielu głowach. Dość przytoczyć, choćby objawiający się od niedawna, ruch wycieczek po kraju narazie dla rozrywki, którą już łatwo będzie uzupełnić pracą pożyteczną. Dalej w tym kierunku idzie np. p. S. Tur „jeden z młodzieży“ w *Kur. Sosnowieckim*, który na dręczące go i wielu z jego współkolegów pytania, jak spędzić wakacye w Zagłębiu? śmiało odpowiada: ucząc się przez poznawanie naoczne warunków życia ekonomicznego i społecznego tej miejscowości ciekawej. W tymże duchu, choć trochę inaczej, potrąciwszy mimochodem o to samo pytanie, odpowiadają *Echa płockie i włocławskie*.

Wszystko to oczywiście zbyt jest jeszcze dalekiem od poważniejszej jakiejś akcyi, mogącej choć troszeczkę zmienić opłakane warunki naszej młodzieży na wakacyach. Są to zaledwie malutkie iskierki budzącej się w jej szeregach świadomości, że źle się spędza czas wypoczynku, lecz z tych małych iskierek, potężny ogień wytworzyć się może, z tych słabiuchnych przebłysków świadomości coś poważniejszego da się zawiązać.

Mimowoli na usta ciśnie się jednak pytanie, czy nie zawiele ufam młodzież, do niej wyłącznie się zwracając. Czy znajdą się wśród niej jednostki dość energiczne aby podjąć inicyatywę w tej sprawie i skupić bierniejszych, lecz chcących pracować kolegów? Nie wiem. W ostatnich czasach zaszły fakty bynajmniej dodatnio o sile zbiorowej opinii młodzieży nieświadczące. Dość przytoczyć niezwykle smutne wydarzenie tragicznego pojedynku pomiędzy dwoma studentami. Brzydki to cień rzuca na ogół młodzieży, że student w obronie narzeczonej, napastowanej przez donżuana-kolegę, musi się uciec do tak idyotycznego, barbarzyńskiego załatwienia sprawy jak pojedynek, z którego jeden przeciwnik wychodzi kaleką. Pomimo różnorodności tłumu studenckiego, będącego zbiorem wszystkich klas społeczeństwa, młodzież stanowi pewną całość, związaną choćby świeżością poglądów i dążnością do nauki. I jakże to smutne, że nie może ona wytworzyć opinii na tyle silnej, aby położyć koniec tak nizkim objawom, jak zaczepianie i uwodzenie bezbronnych kobiet? Wszakże nawet nawskroś zmateryalizowany „burżuj“ amerykański traktuje takiego napastnika, jak nikczemnego szubrawca, a idealista, student warszawski, musi uciekać się w tych razach do pojedynku! Czy wobec takiej słabości życia zbiorowego wśród naszej młodzieży można spodziewać się energiczniejszego czynu we własnym choćby interesie?

Są jednak i inne przykłady. Lat temu kilka garstka młodzieży uniwersyteckiej, leczącej się na piersi w Zakopanem, dała początek stowarzyszeniu samopomocy. Pomimo grobowego milczenia w prasie, uśmieszków i półsłówek ironicznych ze strony otoczenia inicyatorowie wytrwali w zamiarach i, poruszywszy wyłącznie niemal sfery młodzieży, potrafili w ciągu względnie krótkiego czasu zdobyć uznanie i pomoc niedawnych, złośliwych krytyków. Rzecz rosła i dziś mamy przed sobą poważną instytucyę „Bratniej pomocy“, posiadającą kilka wynajętych domów, specyalnie dla swych pacyentów i myślącą o wybudowaniu własnego sanatoryum. Fakt ten zaznaczam, jako przykład, że jednak myśl samopomocy i energicznej na tem polu pracy nie jest młodzieży obcą. A o ile wśród niej znajdą się jednostki energiczniejsze, to i robota idzie żwawo i owocnie. Może więc i w kwestyi, tak doniosłe mającej znaczenie, jak drobna napozór sprawa wakacyj, znajdą się wśród niej ludzie inicyatywy i zastępy do pracy chętnych, na swoje sprawy rozumnie patrzących jednostek.

Słowa powyższe przeczytał jeden z moich znajomych.

Jak pan myślisz — spytałem — będzie co z tego? odezwą się głosy z pośród młodzieży?

— Ano, za rok o tej porze, będziemy znów czytali, że bardzo niewielu z nich spędza wakacye na odpoczynku zupełnym, że większość obarczona jest pracą nad siły i co gorsza nieprodukcyjną, że brak nam jakichkolwiek urządzeń w tej mierze, że pożądanemi byłyby gruntowne w tej dziedzinie zmiany.

Więc myślisz pan, że wszystko to naprożno?

— Chyba.

. . . .

Ja jednak chciałbym coś nic coś i od młodzieży usłyszeć. .

J. Dąbrowski.

Z nad Warty i Odry.

Nowa ustawa [illegible]
nie się miast — Upadek *Gazety Ludowej*.

Ustawa kolonizacyjna, która się stała już prawem obowiązującem, nie przestaje być osią całego życia publicznego. W najrozmaitszych zakątkach kraju odbywają się w dalszym ciągu wiece protestacyjne, prasa zajmuje się szeroko nowem prawem, obmyślając sposoby zmniejszenia jego szkodliwości. Ciekawe, że teraz, kiedy klamka zapadła, Niemcy są coraz skłonniejsi uważać je za szkodliwe dla siebie. Wyłoniła się też kwestya prawna, nasuwająca pewne wątpliwości, co do stosowania uchwały. Ponieważ artykuł 4 konstytucyi głosi, że wszyscy obywatele pruscy są równi wobec prawa, przeto § 136 nowej ustawy sprzeciwia się konstytucyi, jeśli go tłomaczyć, jako zakaz przypuszczania Polaków do nowych osad. Tylko wówczas możnaby uznać ten paragraf za niestojący w sprzeczności z zasadniczym artykułem konstytucyi, gdyby dotyczył nie Polaków, jako takich, ale Polaków nielojalnych. Minister Hammerstein niejednokrotnie twierdził, że rząd w ten sposób pojmuje zadanie nowego prawa i że jest ono wymierzone nie przeciwko polskości, tylko przeciw tym Polakom, którzy chcą zerwać związek, łączący ich nierozerwalnie z Prusami.

Otóż *National Zeitung* zastanawia się nad kwestyą, w jaki sposób będzie się rozróżniało złych Polaków od dobrych. Jeśli bowiem ktokolwiek występuje, jako agitator na zebraniach, jeżeli redaguje gazetę polską, jest posłem polskim, za agitacyę skazanym być może na więzienie, w takich wypadkach bardzo łatwo powiedzieć: to jest Polak nielojalny i takiemu trzeba odmówić pozwolenia na założenie osady. Takich jednak ludzi, którzyby mieli na czole napis „nielojalny,“ jest bardzo mało, i ci zazwyczaj o pozwolenie się nie starają. Jakże więc w olbrzymiej masie polskich chłopów i robotników, którzy w agitacyi nie biorą wybitnego udziału, nie abonują radykalnych pism polskich, a w obecności żandarma pruskiego trzymają język za zębami poznać owe „parszywe owce“? Niepodobna zajrzeć w serce nikomu. Zdarzyć się przytem mogą i ludzie przebiegli, którzy wobec urzędów będą udawać nader lojalnych, nader przyjaźnie dla Prus i Niemiec usposobionych, którzy jednak, skoro tylko otrzymają pozwolenie na utworzenie osady, okażą się najbardziej zapalonymi agitatorami. Cofnięcie pozwolenia jest narazie prawie niemożliwe, władzom więc grozi niebezpieczeństwo, że zostaną oszukane przez wilków w owczej skórze. Trzeba więc postępować radykalnie i Polakom wogóle, bez żadnych wyjątków pozwolenia na tworzenie nowych osad nie udzielać? Ale czy to przyczyni się do wzmocnienia niemczyzny? *National Ztg.* twierdzi, że nie, raz dlatego, że przez wyłączenie Polaków od kupowania ziemi ceny tej ostatniej spadną, co się odbije na dobrobycie właścicieli-Niemców, a powtóre, że Polacy na każdem innem, nierolniczem polu będą niebezpiecznymi dla Niemców konkurentami. W obawie przed tymi, zdaniem organu hakatystycznego, nieuniknionymi skutkami *National Ztg.* radzi, aby „dobrym Prusakom, mówiącym po polsku,“ zwłaszcza na Górnym Śląsku, dokąd dopiero w ostatnich czasach wniesiono agitacyę polską, nie robiono przy osadnictwie zbyt wielkich trudności.

Reichsbote zamieszcza artykuł, nadesłany z kół niemieckich w Poznańskiem, a zapatrujący się dość pesymistycznie na skutki nowego prawa. Autor jego twierdzi, że trzeba się obawiać, aby banki i agenci polscy nie rzucili się do kupowania gospodarstw włościańskich. Komisya kolonizacyjna miałaby zadanie bardzo trudne, gdyby na tem polu musiała z nimi współubiegać się. Cena ziemi folwarków włościańskich jest wyższa, aniżeli majątków wielkich, wskutek czego prowadzenie gospodarstwa przez Komisyę kolonizacyjna na własny rachunek, aż do parcelacyi, podwyższyłoby niesłychanie cenę kupna dla kolonistów. Wielkim błędem też jest złożenie w ręce prezesa regencyi prawa udzielania pozwolenia na zakładanie osad, gdyż rozmaici prezesowie regencyjni rozmaicie na tę sprawę mogą się zapatrywać.

Świeżo zaszedł pierwszy wypadek zastosowania nowego prawa o osadnictwie. Mianowicie: poznański bank parcelacyjny kupił na Śląsku dobra rycerskie Pszow i miał je rozparcelować pomiędzy włościan. Ponieważ władze nie udzieliły konsensu bu-

dowlanego, przeto bank parcelacyjny wystąpił przeciw rządowi ze skargą sądową W razie ostatecznej odmowy konsensu parcele będą wydzierżawione okolicznym włościanom polskim.

Ciekawym dokumentem jest sprawozdanie toruńskiej Izby handlowej, obejmującej powiaty Toruński, Chełmiński, Wąbrzeski i Brodnicki — instytucyi, której członkami są wyłącznie Niemcy. W sprawozdaniu swom z działalności w r. 1903 poznańska Izba handlowa zamieściła szereg skarg płaczliwych na zgubną dla Niemców działalność komisyi kolonizacyjnej, która poprostu niszczy kupców i przemysłowców niemieckich, dąży do wypędzenia ich z miast i miasteczek, którym ułatwia przez to polonizowanie się. Izba handlowa poczuwa się do obowiązku zwrócenia uwagi ogółu niemieckiego na działalność komisyi kolonizacyjnej i ściśle z nią połączonych spółek rolniczych, które komisya z pomocą władz administracyjnych gorąco popiera. Izba handlowa przyznaje, że kolonizacya powiększyła ruch handlowy i przemysłowy w pewnym kierunku. Gdy dla kolonistów potrzeba było budować zagrody, powiększył się zarobek tartaków, cegielni itd. W handlu drobnym po miasteczkach był zarobek przy zakupnie rozmaitych towarów przez nowych kolonistów, choć to nie zastąpiło tego, co tym samym kupcom ubyło przez wyrugowanie z majątków większych obywatelstwa i robotników folwarcznych oraz służby dworskiej. Ale wkrótce już komisya tak się skojarzyła z reiffeisenowskiemi spółkami rolniczemi, że kupcy i przemysłowcy po miastach i miasteczkach poczęli tracić zarobki. Skrupia się to głównie na Niemcach, gdyż polscy kupcy i przemysłowcy mają skutecznych opiekunów w tej agitacyi, która u nich pracuje z zapałem nad nakłanianiem i wypędzaniem Polaków do Polaków, a więc swego do swego. Złe skutki dla zarabiających Niemców zwiększają się dzięki komisyi kolonizacyjnej i jej skojarzeniu się z rzeczonemi spółkami jeszcze i przez zagarnięcie wszystkich potrzeb kolonizatorskich, bo spółki otrzymują pieniądze na bardzo nizki procent z funduszów rządowych i mają aż nadto środków, aby dostarczyć członkom wszystkiego, co im do gospodarstwa i do domu potrzeba, oraz aby brać od nich wszelkie produktym i te im korzystnie spieniężać. Z tego ten skutek, że drobny kupiec niemiecki jest najzupełniej usunięty od interesów ze swoimi — i to przez komisyę i spółki. Toruńska Izba handlowa bardzo pesymistycznie zapatruje się na przyszłość wszystkich tych spółek i przepowiada im nieunikniony upadek. To jednak nastąpi dopiero wtedy, kiedy już bieda wypędzi kupców niemieckich z miast, gdzie się rozsiądzie wygodnie i mocno żywioł polski.

W *Germanii* skarży się jakiś podróżujący pewnej firmy badeńskiej, że kiedy dawniej bardzo wiele sprzedawał Polakom w Poznańskiem i Prusach Zachodnich, teraz prawie nic sprzedać nie może. *Germania* dodaje od siebie, że liczni kupcy niemieccy w prowincyach polskich sprzedają Polakom swoje interesa.

Jakkolwiek we wszystkich tych głosach jest niemało przesady, to jednak nie da się zaprzeczyć, że miasta Poznańskiego i Prus Zachodnich coraz bardziej się polonizują i że nowa ustawa o osadnictwie wybitnie przyczyni się do tego procesu.

Wydawnictwo *Gazety Ludowej* w Poznaniu zostało nareszcie zawieszone. Fakt, zdawałoby się, niewielkiej wagi, gdyż pismo to, redagowane przez Różę Luxemburg, nie posiadało żadnych zwolenników, ani czytelników. A jednak zamknięcie go jest wypadkiem znamiennym, gdyż dowodzi, że wszelkie usiłowania socyalhakatyzmu, obficie zasilane funduszami zarządu partyjnego w Berlinie, rozbiły się stanowczo o zupełną niepodatność robotników polskich do tego rodzaju eksperymentów. P. Róży Luxemburg udawało się przez dłuższy czas mistyfikować zarząd berliński wrzekomymi postępami roboty, lecz w końcu fakt 37 prenumeratorów *Gazety Ludowej* musiał przyprowadzić do upamiętania łatwowiernych Niemców, prawdopodobnie niezdających sobie nawet sprawy z tego, czem jest cała robota p. Luxemburg. Postawiono więc tej ostatniej *ultimatum*: wykazać do 1 lipca bodaj jakiekolwiek rezultaty działalności, lub subsydyum dla *Gazety Ludowej* zostanie odebrane. To postanowienie zdecydowało o losach świstka. W pożegnaniu z przypuszczalnymi czytelnikami *Gazety Ludowej* p. Luxemburg stara się ukryć właściwą przyczynę upadku swego organu — wrzekomo dlatego zawieszonego, że „najczynniejsza współpracowniczka" ma rozpocząć odsiadywanie kozy trzymiesięcznej w najbliższym czasie. Wykręt ten, pomijając, że opiera się na fakcie nierealnym, świadczy bardzo wymownie, że cały socyalhakatyzm w Niemczech redukuje się obecnie do osoby „najczynniejszej współpracowniczki." W każdym razie zawieszenie *Gazety Ludowej* zamyka, należy się spodziewać, okres bruździenia i warcholstwa, niebacznie popieranego z Berlina przez sfery jak najmniej do tego odpowiednie.

Pośrednik.

Georges Sand.

Przypadająca w r. b. setna rocznica urodzin słynnej pisarki pobudziła jej przyjaciół i wielbicieli talentu do wzniesienia jej pomników w Paryżu i w miasteczku La Châtre.

Pomnik w Paryżu odsłonięto d. 2 b. m. w ogrodzie Luksemburskim, ulubionem miejscu spacerów pani Georges Sand, która po rozstaniu z mężem mieszkała w skromnej mansardzie przy Quai St. Michel i przychodziła tu ze swą córeczką. Dzieło rzeźbiarza Sicarda jest pełne prostoty; „dobra pani z Nohant," jak ją chłopi nazywali, siedzi na skale zadumana... U stóp pomnika legło w dniu tym masę wieńców i bukietów, wspaniałością wyróżniał się wieniec z Pragi. W zastępstwie ministra oświaty Chaumié przemawiał dyrektor sztuk pięknych H. Marcel, zaznaczając, że Georges Sand zasłużyła w pełni na hołd, dziś jej składany, nietylko jako pisarka, lecz także wskutek gorącego jej udziału w ruchu społecznym z 1848 roku. Po nim w imieniu komitetu jubileuszowego zabrał głos Jules Claretie, oddając pomnik miastu, a następnie Marcel Prévost, jako prezes Towarzystwa literackiego i gorący wielbiciel talentu pani Georges Sand, skreślił sylwetkę duchową i literacką niepospolitej kobiety. Wreszcie słów kilka wypowiedziała ze wzruszeniem p. Sévérine, a na zakończenie artystka Komedyi francuskiej, pani Worms-Baretta — wiersz okolicznościowy, odznaczony na konkursie, urządzonym przez pismo kobiece *Femina*.

Publiczność w obchodzie wzięła nader mały udział, gdyż głośna niegdyś autorka popadła już w zapomnienie. A jednak nie można powiedzieć, żeby to było słuszne. Pozostawiła olbrzymią puściznę literacką, przeszło 100 tomów romansów, powieści tendencyjnych, powieści sielskich, artykułów politycznych, krytyki literackiej, pamiętników, wspomnień, podróży, listów itp. Pisała bez planu, rozwlekle, nie odczytując nigdy tego, co przelała na papier, to też jej powieści, cieszące się niegdyś wielkiem powodzeniem, jak „Lelia," „Jacques," „Indiana," są dla nas najnudniejsze. Nie znosimy już dziś owej retoryki sentymentalnej bohaterów romantycznych; pół wieku realizmu przekształciło całkiem nasze upodobania. Uczucia, odtwarzane przez autorkę, są dla nas prawie obce, a wspaniałe krajobrazy, mistrzowską malowane ręką, ustępy wzorowe pod względem stylu, nie mogą już zachęcić do czytania. Niewątpliwie jednak dla historyka XIX wieku dzieła te są cenną skarbnicą, bo jak powiada Renan, pozostaną one nazawsze świadkami, czegośmy pragnęli, o czem myśleliśmy, co czuli i nad czem cierpieli."

Georges Sand, obdarzona niezmiernem bogactwem uczucia, nie umiała pozostać obojętną, wobec udręczeń innych, zajmować wygodnego stanowiska obserwatora, gdy inni walczyli. Każda sprawa, poruszająca umysły, odbijała się silnem echem w jej duszy. Wprawdzie w pierwszych utworach daje nam treść osobistą, lecz wkrótce, poznawszy marzycieli owej epoki, P. Leroux, Lamennais, cała przeniknęła się współczuciem dla ogółu pokrzywdzonych i cierpiących. Uwierzyła, że nadejdzie epoka wielkiej sprawiedliwości, wolności i braterstwa i tym ideałom szczęścia ludzkości oddała swój talent na usługi. W roku 1848 wzięła gorący udział w ruchu społecznym. Z epoki tej pozostały jej „Lettres au peuple," przedmowy do „Bulletins de la République" i do „Contes ouvriers"; wespół z Barbès'em pracowała nad dziełem „Commune de Paris," przełożyła Mazziniego „République et Royaute en Italie" i założyła nawet dziennik *La cause du peuple*. Są jeszcze ludzie, pamiętający tę niezwykłą kobietę o oczach pełnych dobroci, jak po macierzyńsku zajmowała się zgłodniałymi biedakami, którzy cisnęli się do tanich jadłodajni, założonych przez rząd tymczasowy. Pamiętnem jest również jej śmiałe wystąpienie przed Assemblée nationale w obronie sprawy ludu.

„Popełniacie błąd ważny — nie znacie nędzy ludu. Starajcie się przeto jak najprędzej ją poznać, bo chłop zaczyna już tracić cierpliwość. Jeśli interes osobisty jest głównym u niego czynnikiem, jeśli niedostatecznie pojmuje sprawy ogólne, jeśli cele narodowe są dlań obojętne, jeśli nie zna wartości swych praw politycznych, jeśli gotów dziś oddać swój głos za pierwszym pretendentem do tronu, obiecującym zniesienie podatków, jeśli wreszcie woli zachować dla siebie na czarną godzinę swe oszczędności, niż złożyć je na ołtarzu ideału politycznego, którego nie pojmuje czyjaż w tem wina? Tych, którzy przez długie wieki trzymali go w poniżeniu moralnem i ciemnocie. Jeśli pragniecie istotnie poprawy tego stanu rzeczy, jeśli chcecie, aby wszyscy ludzie mieli prawo do bezpłatnej oświaty, miejcież swoją noc 4 sierpnia, panowie mieszczanie, czas już wielki..."

Z tej samej epoki — wrzenia idej pochodzi głos pani Georges Sand w sprawie równouprawnienia kobiet, w dwóch broszurach: „A propos de la femme dans la société politique" i „Pourquoi les femmes à l'Académie." Kwestya ta dotychczas nie przestała być aktualną. Słynna pisarka domaga się w nich gorąco udziału kobiet w życiu politycznem, uważa jednak, że urzeczywistnienie tego pragnienia nie da się osiągnąć bez radykalnej zmiany ustroju społecznego. Nawoływała przeto do najbliższej reformy — do ujednostajnienia praw cywilnych płci obu.

„Dopóki wszystkie prawa przysługiwać będą jedynie mężom, dopóty kobieta o prawach politycznych myśleć nie może. Ma ona obecnie wady istoty uciemiężonej, wady niewolnika, panowanie swe zdobywać musi chytrością, podstępem i kłamstwem. Należy dążyć do równości tak w prawodawstwie, jak w życiu codziennem. Trzeba aby szczera i łagodna kobieta nie była wiecznie tyranizowaną i wyzyskiwaną, a ta,

która nie dotrzymała wierności małżeńskiej—pomiatanąprzez swe dzieci i wzgardzoną przez opinię publiczną. Bądźcie równe waszym mężom, aby nie potrzebować ich oszukiwać i zdradzać. Bądźcie im równe, aby módz z rozkoszą dotrzymać przysięgi wierności, która jest ideałem miłości i potrzebą sumienia w pakcie pomiędzy równymi.“

Obok tego pani Georges Sand zaznaczała, że kobiety powinny przedewszystkiem zajmować się wychowaniem dzieci; ażeby jednak należycie mogły spełnić to zadanie, trzeba im dać gruntowne wykształcenie.

Jak widzimy, rady jej i dziś jeszcze warte są słuchania, bo kwestya kobieca, zarówno jak sprawa oświaty ludowej, nie są rozwiązane.

A że udział jej w wypadkach z r. 1848 był szczery i wynikał z głębokich przekonań, świadczy o tem jej korespondencya z Barbès'em i Mazzinim pomiędzy 1849 a 1855 r. Dni czerwcowe sprowadziły ją z powrotem do Nohant, gdzie odtąd spędziła 28 lat wśród dzieci, wnuków, przyjaciół i chłopów, pisząc powieści sielskie, przepełnione miłością dla ziemi rodzinnej, jak „La mare au diable,“ „François Champi,“ „La petite Fadette,“ „Les Maitres sonneurs,“ sztuki dramatyczne, których przedstawieniem zajmuje się syn jej Maurycy, w roli reżysera, aktora, dekoratora i maszynisty, wreszcie pocieszając nieszczęśliwych chłopów radą, słowem serdecznem i pomocą pieniężną. O dobroci jej krążą w okolicach Nohant niezliczone opowieści. W d. 10 lipca r. b. na odsłonięcie jej pomnika w La Châtre tłum chłopów przywędrował do pełnego jej wspomnień domu w Nohant, a obszedłszy w ciszy i skupieniu pokoje niegdyś przez nią zamieszkiwane, odwiedził grób w głębi małego, wiejskiego cmentarza, gdzie wśród gąszczy drzew i krzewów leży płyta granitowa z wyrytym napisem: Georges Sand. Po wysłuchaniu przemówień Marcela Prévost, Theurieta i Sevérine, miała miejsce defilada wozów z malowniczymi obrazami z jej sielskich powieści, a więc „Klaudya ze snopami zboża,“ „Kosiarze z powieści Jeanne,“ „Młynarze z Angibault,“ trębacze z powieści „Les maitres sonneurs,“ kobziarze itp.

Komedya francuska uczciła pamięć pisarki wystawieniem dramatu „Claudie,“ który grano po raz pierwszy w 1851 roku w teatrze Porte St. Martin. Sztuka ta wówczas powodzenia nie miała, była bowiem apoteozą pracy w epoce, gdy najzawzięciej zwalczano właśnie teorye Proudhona, L. Blanca, Cabet'a, Considérant'a i P. Leroux. Przytem główny aktor ówczesny, Bocage, zapalony republikanin, należał sam do partyi postępowej i zajmował się więcej polityką, niż sceną, oddał więc postać starego chłopa Rémy z ogromną siłą dramatyczną, stworzył typ męczennika pracy, wyzyskiwanego i prześladowanego w ciągu długich wieków, a oczekującego poprawy losu jedynie od gruntownej przemiany ustroju społecznego. Była jeszcze i inna przyczyna niepowodzenia tego dramatu, a mianowicie w trzecim akcie autorka dla dziewczyny uwiedzionej żąda więcej, niż litości, żąda szacunku, uważano więc w owym czasie, że to już nie rehabilitacya występku, ale jego apoteoza i po faryzeuszowsku oburzono się na tendencyę niemoralną. Obecnie, gdy niema artysty w rodzaju Bocage'a, a idee uważane niegdyś za niebezpieczne szeroko się rozpowszechniły, sztuka nie sprawia tego wrażenia co dawniej, niemniej jednak pomimo zimnej gry wywołuje wzruszenie.

Jako uzupełnienie powyższych uroczystości dla uczczenia pamięci Georges Sand służyć może wydana z okazyi setnej rocznicy jej urodzin książka p. t. „Souvenirs et idées,“ zawierająca wiązankę ciekawych wspomnień słynnej autorki. *Z.*

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Spostrzeżenia psychologiczne.

Od czasu do czasu kronika wypadków zanotuje fakt, który zbyt mocno zakłuje wrażliwość ogólna i zwróci uwagę nieruchliwego dziennikarstwa, z musu idącego za ogółem. Ciekawe są rozmyślania na temat tych zdarzeń. Ciekawe dla swego podobieństwa fonograficznego do sposobu myślenia przeciętnego czytelnika pism. Powierzchowny sentymentalizm, tragiczne załamywanie rąk, wzrok rozkochany w stronę przeszłości, a jednocześnie niezrozumienie kwestyi, niechęć do głębszego wniknięciu w zagadnienie, czepianie się paru zewnętrznych szczegółów i — usilowanie zapobieżenia wytrąceniu umysłów ze stanu spokojnej, wolno trawiącej drzemki.

Weźmy przykłady z ostatnich dni. Niepełnoletni chłopak, wyrosły w atmosferze uganiania się za płytkiem użyciem, popełnił zbrodnię. To wywołało różne komentarze. Nie zwrócono uwagi na patologiczny podkład tego zdarzenia, nie czekano wyjaśnień skomplikowanej i niezrozumiałej sprawy, lecz łamano ręce. Najcharakterystyczniejszym jest ten pan, co z bólem cywilizowanego manekina woła: „oto ludzie wykształceni“ — łączy z tą sprawą drugą, mającą absolutnie inne znaczenie, i płacze nad zanikiem wpływu kultury i zwyrodnieniem inteligencyi. Przedewszystkiem to, co o nieletnim zabójcy podały pisma, nie świadczy, aby on miał wykształcenie. Ukończenie paru klas nie daje jeszcze prawa do patentu na inteligenta. Po za tem wypadków pojedyńczych nie należy uogólniać.

Drugi przykład. Młody chłopak zakochał się w młodszej od siebie dziewczynie „wolnych obyczajów.“ Przekonawszy się o jej niewierności, odebrał sobie życie. Fakt wstrząsający, jak każde samobójstwo. Tu znowu bolejący nad ranami społecznemi dziennikarz pisze o „zgubnej sile miłości i o zwyrodnieniu tej, która zgubiwszy siebie, gubi z umiłowaniem innych.“ A zdarzenie to ciekawe i dające wiele do myślenia. Lecz czy oskarżenie jest słusznie wystosowane? Ten, co zginął, nie jest winien swej śmierci, więc winną jest ta, która „nie zginęła,“ a swem postępowaniem spowodowała jego śmierć. Czy może winowajcą jest ogół, obojętny na los tysięcy młodych dziewcząt, żądający od nich maszynowości i przymierania głodem za cenę cnoty? Jakąż tu rolę odgrywa społeczeństwo, w którem stosunki tak się ułożyły, że istnienie dziewcząt, rosnących wśród ciemnych podwórzy bez opieki, oświaty, w porze, kiedy krew kipi, wystawionych na bezkarne polowanie i ulegających „zepsuciu“ — jest stanem stałym, uważanym przez niektórych „mędrców“ za konieczny i niezbędny. Dusza tych istot szuka rozwoju, lecz właściwie mówiąc, czy ta dusza przebudziła się choć na chwilę, czy wszedł choć jeden promień słońca do cuchnącej wyziewami zgnilego powietrza i wilgoci sutereny? Ów mądry pan wykrzykuje: mogła pracować — a wolała używać. Bardzo ryzykowne twierdzenie. Tylko dobrze, a przynajmniej nieźle się mający mieszczuch lub dziennikarz, małpujący go, może tak stanowczo przemawiać. Nie, panie, tu jest coś innego, czego twoje spostrzegawcze oko nie umie dojrzeć z po za artykułów, robionych na obstalunek. Wszakże to są istoty ludzkie, których smutny los ściśle jest związany ze stosunkami społecznymi, wśród których kształtują się młodzi ludzie, odbierający sobie życie i młode, „lekko życia używające“ dziewczyny. Nie zatruwajmy powietrza, którem młodzież oddycha, nie bagatelizujmy ich duszy pustymi frazesami, nie uczmy ich, że „puszczanie się“ to przywilej starszych, a nie będziemy zmuszeni stawać nad przedwczesną mogiłą. Nie patrzmy obojętnie na nędzę, na wyzysk młodych kobiet, na brak światła i... chleba, nie twórzmy atmosfery, gnojącej chwiejne od urodzenia, pozbawione chwili jaśniejszej dusze, a nie będziemy napotykać młodych dziewczyn, „cynicznie zaczepiających porządnych panów na ulicy.“ *br.*

Nieco pogody...

Wszystko się przedstawia najlepiej na tym najlepszym ze światów. Małe przykrostki: wojna, głód, susza, pożary, ospa — to nic. Świat jest piękny i my jesteśmy bardzo piękni. Głód — mamy bony na obiady bezpłatne, susza — wodę sodową, pożary — sikawki pożarne, ospa — szpitał zapasowy. Abyśmy nie wstydzili się przed obcymi i historyą mamy prasę, skrzętnie notującą wszelkie zdarzenia, biadającą nad niedolą, podającą łatwo strawne pigułki na wszystkie niedomagania; a umie ona tak zręcznie przedstawić najgorszą klęskę, że i serce się wzruszy i kieszeń niewiele straci. Snu nie odbiorę jej gromy, trawienia nie popsuje karmelkowo-żółciowy ton tych trenów. Świat się toczy koleją, najlepiej zamknąć oczy, jęknąć dla strawności i... czuć się wszędzie, jak u siebie. O wszelkich zdarzeniach ważnych i nawet bardzo ważnych najlepiej sądzić z góry, poco zresztą łamać głowę, kiedy poczciwy kuryerek poda pogląd gotowy, wypadkowo rażąco podobny do głosów takichże kuryerków angielskich, niemieckich, czy francuskich, zależnie od sympatyi. Tylko to przykre, że czasem coś, o czem wiedzieć nie chcemy, wylazi na wierzch i dalejże spacerować po pierwszorzędnej ulicy. Gapimy się, później zamykamy oczy, wołamy policyi i czujemy rodzące się kolki w wątrobie Że też policya nie wywiezie wszystkich obdartusów za miasto, nie zakaże ludziom chorować na ospę, nie mieć chleba itd. To tylko u nas są takie porządki W Anglii to panie dobrodzieju za każde przewinienie tego rodzaju — kara; płać bracie, albo choć w pożądnym surducie. Kiedy my do tego dojdziemy? Ba, my to zawsze tak jęczymy, cierpimy, a na czyn zdobyć się nie możemy. *r.*

Pożary.

Panująca susza do innych klęsk dodała nową wielką — pożary. Niema dnia aby nie nadchodziły wieści o paleniu się całych wsi, miasteczek lasów, torfowisk itd. Klęska jest tem straszniejsza, że ani jej zapobiedz, ani pomódz nie można. Asekuracya nigdy nie obejmie tak szerokich obszarów. Koleje żelazne przyczyniają się też do pomnożenia ilości wypadków. Naturalnie zakładanie i doskonalenie straży ochotniczych, rozpowszechnianie wiadomości o sposobach gaszenia pożarów, umiejętne budowanie domów, zmniejsza prawdopodobieństwo klęski, lecz nie usuwa jej. W tem leży wielki jej ogrom. U nas ruch „przeciwpożarowy“ dopiero się rozwija, lecz wobec znanej „architektury“ chałup i domków w miasteczkach, małe on może czynić postępy. Z drugiej strony wobec wypadków tego rodzaju powstaje inna kwestya tak samo, jak przy każdem nieszczęściu społecznem: myśl, jak wiele w takiej niedoli pomódz może samopomoc społeczna i poczucie solidarności. Budzenie tych uczuć staje się u nas coraz niezbędniejszem. Inaczej klęska po klęsce będzie w nas uderzać, a my będziemy tylko reagować współczuciem i filantropią.

BADANIA NAUKOWE.

Odżywianie się komórek.

(Dokończenie).

Do komórek roślinnych dwutlenek węgla i tlen dochodzą z atmosfery za pośrednictwem szparek oddechowych, w niezmiernej ilości występujących na powierzchni liści i prowadzących do międzykomórkowych przestrzeni przewietrznych. W podobny sposób tlen dostaje się do tkanek zwierzęcych (lub ludzkich) za pośrednictwem płuc.

Materye odżywcze, rozpuszczalne też muszą wnikać do najgłębszych zakątków organizmów wielokomórkowych, muszą docierać do każdej poszczególnej komórki. W roślinach wznoszą się one z wodą, od korzeni, przez cieniutkie naczynia włoskowate, coraz wyżej i wyżej, aż się zetkną z komórkami żyjącemi. W złożonym organizmie zwierzęcym komórki bądź stykają się z rozpuszczalnym pokarmem płynnym bezpośrednio, jak np. w nabłonku żołądka i jelit, bądź, jak komórki we wszystkich innych tkankach, otrzymują go ze krwi, dostarczającej im żywności w odpowiednim, przygotowanym już stanie płynnym.

Nawet u zwierząt bezkręgowych, pozbawionych niekiedy właściwego systemu krążenia (krwionośnego) komórki ciała w części stykają się bezpośrednio z wodą, w części otrzymują pożywienie ze specyalnych kanałów międzykomórkowych i szczelin, wypełnionych sokami odżywczymi.

Najprostsze zresztą pod tym względem stosunki widzimy wśród organizmów wielokomórkowych, wodorostów, bakteryj, wymoczków itp., które żyją w roztworach odżywczych (w pożywkach) — w wodzie z odpowiednią zawartością soli rozpuszczalnych lub w płynach natury organicznej.

Co się tyczy wreszcie pokarmu stałego, to, jak już o tem wspominaliśmy, przyjmują go niektóre tylko komórki. Z organizmów jednokomórkowych zdolne są do tego korzenionóżki (Rhizopoda), znaczna część wymoczków (Infusoria) i niektóre wiciowce (Flagellata). W organizmach wielokomórkowych zjawisko to dostrzeżone zostało na białych ciałkach krwi, czyli leukocytach, przez Miecznikowa, który przysłużył się najwięcej sprawie poznania trawienia międzykomórkowego (Metschnikoff: „Untersuchungen über die introcellulare Verdauung bei Wirbelthieren,“ 1884 i „Ueber die Beziehungen der Phagocyten zu Milzbrandbacillen,“ 1886), nazwanych *fagocytami*, komórki jajowe niektórych zwierząt, np. gąbek, niektórych jamochłonnych, robaków i owadów oraz komórki nabłonkowe jelit. Wymienione rodzaje komórek w jednych wypadkach mogą pochłaniać stałe cząsteczki pokarmu całą powierzchnią swego ciała mikroskopowego, jak np. komórki ameboidalne, korzenionóżki, leukocyty i komórki nabłonkowe jelit; w innych zaś posiadają specyalnie do tej sprawy przeznaczony punkt, t. zw. otwór gębowy; posiadają go wymoczki i wiciowce, okryte, jak wiadomo, dokoła stałą, dość mocną błonką.

O ile pochłanianie pokarmu lotnego i płynnego przez komórki odbywa się stale drogą wchłaniania *biernego*, o tyle pobieranie cząsteczek stałych zawsze jest związane z pewnymi aktami *czynnymi* ze strony pochłaniającej komórki, mianowicie: przy pomocy pewnych ruchów ciała (zarodzi), sprawiających niekiedy na powierzchownym obserwatorze wrażenia czynności dowolnych, świadomych.

Ameba np., rozpatrywana pod mikroskopem w kropli wody, wysuwa ze swego bezkształtnego ciała drobne wypustki (niby nóżki, pseudopodia) i posuwając je bez przerwy ku przodowi, pełza powoli i napotkane odrobiny pokarmu tak oblewa swem śluzowatem ciałem, iż te zostają, jak gdyby „zatopione“ ze wszystkich stron w żywej materyi ameby. W podobny sposób różne korzenionóżki pochłaniają nietylko martwe okruchy pokarmu, np. strzępki gnijących liści, lecz i żywe organizmy mikroskopowe, bakterye, wodorosty, wymoczki itp. Przytem z ciała pochłaniającej komórki wydziela się niekiedy, skutkiem mechanicznego podrażnienia, pewna, drobna ilość kleistej, lepkiej cieczy, powodującej łatwiejsze opanowanie i przytrzymanie pochwyconej zdobyczy.

Zupełnie w ten sam sposób, jak ameby i inne korzenionóżki, pochłaniają okruchy ciał stałych, t. zw. „komórki wędrujące,“ czyli leukocyty, które bądź pływają w osoczu krwi, bądź, wychodząc z naczyń krwionośnych, wciskają się do najciaśniejszych zakątków i szpar międzykomórkowych, szukając, coby pożreć. One to, jak wykazał Miecznikow i późniejsi jego uczniowie, odgrywają najgłówniejszą rolę w samoobronie organizmów przeciwko wszelkim ciałom obcym, które w ten lub ów sposób znalazły się wśród tkanek, we krwi itp., one bronią nas od chorób infekcyjnych, gdyż pochłaniając i przetrawiając drobnoustroje wpadające do ran, powstrzymują nadmierne tych drobnych wrogów naszych rozmnażanie się.

W taki sam sposób wreszcie pochłaniają drobne cząsteczki pokarmu, kropelki tłuszczu nieruchome komórki nabłonkowe jelit.

Co się tyczy komórek, odzianych z zewnątrz stałemi błonkami i posiadających skutkiem tego specyalne otwory gębowe do przyjmowania pokarmu, to cząsteczki stałe pożywienia zostają tu schwytane i wprowadzone do wnętrza komórki — do plazmy za pomocą drobnych rzęs lub wici, wyrastających z powierzchni ich ciała.

W ten sposób pobierają pokarm różne wymoczki — siedzące i wolno poruszające się. Miarowy, niezmiernie szybki ruch tych rzęs, wyrastających po większej części regularnymi szeregami, w kształcie pierścienia lub śruby, wywołuje prąd wody, wpadający wprost do szpary gębowej, a wraz z nią wchodzą tam i okruchy pokarmu, bakterye, wodorosty lub inne, drobniejsze wymoczki. Zjawisko to bardzo łatwo zauważyć w całym jego przebiegu pod mikroskopem, jeżeli do wody, w której pływają wymoczki, dodać odrobinę sproszkowanego barwnika, np. karminu lub indyga. Widzimy wtedy wyraźnie, jak wymoczek połyka czerwone lub niebieskie okruszyny, nagromadza je wewnątrz swej plazmy, skupia w kłaczki, otacza warstewką wody lub umieszcza w odpowiednich pęcherzykach wodnistych (wodniczkach).

Zdarza się niekiedy obserwować, jak niewielkie stosunkowo wymoczki, np. z rodzaju Coleps, połykają kawałki pokarmu znacznie szersze, niż średnica ich szpary gębowej; wtedy przyciskają się one do owego „kęsa“ i naciągają nań swe ciało tak, jak się naciąga ciasną rękawiczkę na rękę. Siły, powodującej takie „naciąganie,“ dostarczają wyłącznie drobne rzęsy, uderzające niezmiernie szybko o wodę, jak niezliczone wiosła.

Takie gwałtowne „połykanie“ pokarmu przez komórkę przypomina bardzo czynność węża, połykającego zdobycz szerszą od średnicy jego ciała.

W końcu parę słów wypada nadmienić jeszcze o „wybieraniu“ pokarmu przez komórki.

Wiadomo, że każdy rodzaj komórek, czy to samodzielnie żyjących, czy też uspołecznionych, roślinnych, ludzkich lub zwierzęcych posiada zdolność pobierania z otaczającego środowiska pewnych tylko, niezbędnych ciał. Jeżeli np. zwrócimy uwagę na różne komórki lub tkanki jednego i tego samego organizmu, żywionego jedną i tą samą krwią, to okaże się, że komórki gruczołowe pochłaniają z niej jedne substancye, nerwowe, mięśniowe, chrząstkowe, wątrobowe, lub czuciowe, jeszcze inne, każda odpowiednio do swych potrzeb i swej specyalności fizyologicznej.

To samo widzimy w komórkach włośnikowych roślin, wprowadzających do korzeni różne sole mineralne, odpowiednie naturze i potrzebom każdego gatunku rośliny. Włośniki np. grochu pobierają inne sole, niż włośniki kartofli lub pszenicy, rosnących obok siebie na jednej i tej samej glebie.

Zjawisko to fizyologia roślinna łatwo tłomaczy wyższym stopniem związywania chemicznego pewnych soli w zarodzi komórkowej, niż innych; skutkiem tego sole, niezbędne dla danego gatunku, są wciąż niejako usuwane z komórek pobierających, te zaś w dalszym ciągu odzyskują możność wchłaniania ich bez przerwy drogą osmozy. Sole niepotrzebne, lub zgoła szkodliwe, jak np. sole miedziane, skoro znajdą się w roztworze, otaczającym włośniki, aczkolwiek również drogą osmozy mogą przesiąkać do wnętrza komórek włośnikowych, to jednak, niezwiązywane chemicznie przez zaródź, gromadzą się rychło na włośnikach w takiej ilości, że dalsze ich przesiąkanie do korzeni ustaje. To proste zjawisko fizyczne wyjaśnia nam należycie zagadkowe napozór zjawisko „celowego“ wybierania przez komórki roślinne odpowiedniego pokarmu.

Taką samą zdolność zauważyć wreszcie możemy i u pierwotniaków.

Cienkowski (Beiträge zur Kenntniss der Monaden 1805) np. dostrzegł, iż pierwotniak Culpodella pugna poszukuje i wysysa wodorosty z rodzaju chlamydomonas; inny gatunek Vampyrella Spirogyrae używa w tym samym celu skrętnicy (Spirogyra).

Verworn wreszcie opisuje w swoich „Biologische Protista Studien“ szczególny zwyczaj niektórych korzenionóżek z rodzaju Diffulgia, budujących sobie z drobnych okruchów zewnętrzne pancerze ochronne. Otóż jedne z nich wybierają w tym celu wyłącznie krzemionkowe pancerze okrzemek (Diatomeae), inne znów — tylko drobne, jednakowej wielkości ziarenka piasku. Należy jednak przypuszczać, że i w tym przypadku dobieranie odpowiedniego materyału odbywa się nie za sprawą jakichś skoordynowanych aktów dowolnych i świadomych, lecz poprostu wskutek jakichś nieokreślonych jeszcze czynników natury fizycznej lub chemicznej. Verworn przypuszcza np. iż Diffulgie używają takiego wyłącznie a nie innego materyału na budowę muszelek dlatego poprostu, że w danem miejscu inny nie istnieje. Przypuszczenie swoje opiera on na następującem, własnem doświadczeniu; umieszczał w naczyniu z wodą, złowione w jakimbądź zbiorniku naturalnym, Diffulgie i wsypywał im pewną ilość sproszkowanego szkła; po pewnym czasie zauważył, że młode, „urodzone“ już w niewoli pierwotniaki budowały sobie muszelki z okruchów szklanych.

Wreszcie i w naszem własnem ciele z łatwością obserwować możemy na białych ciałkach krwi podobną skłonność, do pochłaniania pewnych tylko ciał stałych; pożerają one np. tylko pewne kategorye drobnoustrojów chorobotwórczych, innych zaś nawet unikają.

Komórki nabłonkowe jelit wybierają z przetrawionego pokarmu za pomocą drobnych wypustek protoplazmatycznych tylko krople tłuszczu, względem zaś in-

nych okruszyn zachowują się zupełnie obojętnie.

Nie mniej ciekawe i psychologom dające wiele do myślenia zjawisko widzimy w pochłanianiu pokarmu zbiorowemi siłami przez niektóre komórki, tak swobodnie żyjące, jak i uspołecznione.

Pewne np. gatunki korzenionóżek z grupy Słonecznic (Heliozoa) zbierają się w pewnym okresie swego rozwoju w gromady, zlewają się w jednolite masy śluzowate, zawierające zatem w zacznej ilości zarodzi wielką ilość jąder i wspólnemi siłami wchłaniają wtedy tak znaczne kawałki pokarmu, jakie dla każdego poszczególnego osobnika, dla oddzielnej komórki wcale nie byłyby dostępne.

Analogiczne zjawisko obserwowałem osobiście we krwi niektórych raków morskich, krabów, krewetek oraz skorpionów. Dokoła sztucznie wstrzykniętych do ciała tych zwierząt grubych ziarnek barwnika, np. karminu, już po kilku godzinach zbierają się całe gromady białych ciałek krwi (fagocytów), które zlewając się z sobą w znaczne masy śluzowate (t. zw. syncytium) otaczając obce ciałka ze wszystkich stron. To samo obserwować można i wtedy, kiedy wprowadzimy do krwi wspomnianych zwierząt jakiebądź drobne ciałka organiczne, np. drożdże, w tym jednak ostatnim wypadku zbiorowa działalność fagocytów dość prędkim i pomyślnym zostaje uwieńczona skutkiem: drożdże są całkowicie przetrawione i wchłonięte.

Kazimierz Kulwieć.

LITERATURA I SZTUKA.

SCHILLER

WOBEC WSPÓŁCZESNEGO POKOLENIA.

W maju roku przyszłego upłynie 100 lat od śmierci Fryderyka Schillera. Świat literacki, niemiecki gotuje się na uroczyste upamiętnienie tej daty. *)

Jakiż jest nastrój społeczeństwa dzisiejszego wobec poety? Jakiemi uczuciami będą przejęte tłumy, które podczas ostatniej uroczystości schillerowskiej (w roku 1859 z okazyi setnej rocznicy urodzin) entuzyastycznie proklamowały wielkość i wieczność poezyi autora „Wilhelma Tella"?

Uczucia te radykalnie się zmieniły. O wieczności dziś już seryo się nie mówi. Nastrój oziębł. Minęły czasy kultu schillerowskiego. Wyłoniły się sądy ujemne. Duch poety i duch narodu nie stanowią już zgodnej harmonii. Nie przystają postulaty etyczne i estetyczne Schillera do dążności i „ideałów" społeczeństwa niemieckiego.

Stąd obniżenie wpływu poety, stopniowe usuwanie w cień jego utworów, niekiedy nawet i naigrawanie z „naiwności," „sentymentalizmu", „koturnowości." Wreszcie u najmłodszych: detronizacya Schillera a uwielbienie na drugim biegunie królującego boga: Goethego.

Dwie w tym przejawie oziębłości wobec Fryderyka Schillera występują strony: z jednej poeta — z drugiej społeczeństwo. Twórczość poety oczywiście pozostała, zmieniło się społeczeństo.

*) Aby przysposobić odpowiedni grunt dla uroczystości, wydał jeden z najstarszych publicystów niemieckich Ludwik Fulda rozprawę pod t. „Schiller und die neue Generation", w której starał się wykazać; że niesłusznie gwiazda Schillera przygasa i że należałoby powrócić do jego poglądu na świat.

Cały ten proces przeobrażenia jest równocześnie historyę społeczną i polityczną Niemiec z drugiej połowy XIX stulecia. Każdorazowa zmiana w podstawach, niemieckiego ustroju społecznego, klinem wbijała się między harmonię, jaką tworzył Schiller i ogół, rozłupywała dotychczasową zgodność na dwa nieprzystające odłamy: z jednej strony stawał osamotniony poeta wraz z wycofanymi z obiegu ideałami swymi — z drugiej strony społeczeństwo przesiąknięte ideałami zgoła „nieschillerowskimi."

Warto sobie uświadomić, jakie to były przyczyny, które Schillera z rzędu współdziałaczy kulturalnych wymazały i usunęły w poczet wielkości historycznych.

Kiedy sława Schillera znajdowała się u zenitu, ideałami społeczeństwa niemieckiego były: zjednoczenie i liberalizm. Oba znajdowały w Schillerze namiętnego poplecznika i dlatego też panowała niezamącona zgodność między twórcą i ogółem. Lecz z biegiem czasu ideały te bądź urzeczywistniły się, bądź zostały przemocą zepchnięte z porządku dziennego. Ideał zjednoczenia został osiągnięty, idea liberalizmu zbankrutowała w Niemczech. Uważny psycholog mógłby dopatrzeć się związku przyczynowo-skutkowego między urzeczywistnieniem zjednoczenia i bankructwem haseł wolnościowo-tolerancyjnych w Niemczech. Lecz to tu do rzeczy nie należy. Otóż z chwilą, kiedy to się dokonało, zgasła łuna, jaka biła ze słów Schillera. Przed zjednoczeniem mówił on do łaknących — dziś mówi do sytych... Tak samo z liberalizmem. Mieszczaństwo niemieckie z r. 1848, podpisywało bez zastrzeżeń program wolnościowy markiza Pozy z „Don Karlosa", posługiwało się jego słownictwem. Dziś śmieje się zeń. Nieużytek! Platoniczny liberał! Ten święty typ niegdyś, dziś jest tematem krotochwilnym dla fabrykanta scenicznego Sudermanna, „wichurą Sokratesem" o mózgu zdziecinniałym. To, co dawniej było winem szampańskiem dla duszy, dziś jest karmią duchową jedynie dla przeżytków.

W większym jeszcze stopniu, aniżeli ideały polityczne Schillera, zmieniły się w tym czasie jego ideały kulturalne. Przypominacie sobie poemat jego „Podział świata." Wszyscy dobrze na tym podziale wychodzą, każdy zabezpiecza sobie jakąś cząstkę, jakiś udział, tylko poeta nic nie dostaje. Bóg pociesza go—sławą po śmierci. Był to najczystszej wody altruizm schillerowski. Przed 50 laty w Niemczech taki pogląd popłacał. Dziś niema nań miejsca. Imperyalizm państwowy, egoizm jednostkowy, praktyczność i filisterstwo społeczności, która w międzyczasie wydała „Siegesallee," „Es ist erreicht" politykę i wąsy, commisvoyagera i „Druber-drunter-Brettl", śmieje się w kułak z takiego altruizmu.

Schiller powiada: „Der brave Mann denkt an sich selbst zuletzt." Maks Stirner powiada: „Jednostka w społeczeństwie jest czemś jedynem." Nietzsche formułuje zasadę, że silna jednostka myśli przedewszystkiem o sobie, a Ibsen stwierdza, że najsilniejszym jest ten, co sam stoi. Poglądy ostatnie są hasłami najmłodszego pokolenia. Czyż wobec nich jest miejsce na schillerowski altruizm i idealizm?

Albo inny przejaw kulturalny: kiedy Schiller śpiewał swych „Götter Griechenlands," nietylko układał dytyramb na cześć hellenizmu, ale także kował system wychowawczy, filologiczno-historyczny, w duchu humanizmu klasycznej starożytności. Tymczasem idea wychowawcza drugiej połowy wieku XIX na zupełnie innych oparła się podstawach. Wraz z rozrostem wiedzy przyrodniczej, poczęto siłę wychowawczą „bóst greckich" rugować, lub na drugi plan spychać. Obecnie nie może być wychowania na innem podścielisku, niż przyrody i jej praw. A jak wobec tego wyglądają zapatrywania Schillera, te martwe allegorye umiejscowione na Olimpie?

Albo przypatrzmy się stanowisku Schillera wobec kobiety. Swego czasu był on ulubionym poetą świata kobiecego. Uwielbiały go za to, że w każdym utworze, gdzie występowała kobieta, od Amelii w „Zbójcach" po „skrzętną gosposię", w „Pieśni o dzwonie", apoteozował ją „panującą mądrze w kółku rodzinnem," kryjącą się pod opiekuńcze skrzydła mężczyzny, skromną, bierną, czystą — anielicę już za życia... „Ehret die Frauen!" było hasłem schillerowskiem. Niech kobieta będzie intelektualnie zacofaną, byle była poczciwą i uczciwą kapłanką ognia domowego, spełniała bez szemrania obowiązki żony i matki. Jakżeż zmieniło się od tego czasu stanowisko kobiety! Właśnie w ciągu drugiej połowy ubiegłego stulecia odbył się proces jej usamowolnienia, społeczeństwo przebyło ruch emancypacyjny, który w kąt zapędził zaściankowo ideały epoki Schillera.

Prócz tego inny jeszcze powód oddalił schillerowskie zapatrywania na istotę kobiety od poglądów współczesnych. Sztuka ostatniego pokolenia przesiąkła pierwiastkami erotycznymi. Schiller zaś jako poeta nie był wcale erotykiem. Był on znakomitym analizatorem duszy męzkiej — przejawy zaś duszy kobiecej pozostawały dlań tajemnicą. Stąd to łatwo dał się na tym punkcie prześcignąć wielu późniejszym twórcom, tak iż jego wizerunki duchowe kobiet wydać się nam obecnie muszą bardzo powierzchownymi.

Nietylko pod względem politycznym i kulturalnym, ale także i estetycznym przesunęły się poglądy nasze na niekorzyść zapatrywań schillerowskich. Zestawmy najgłówniejsze żądania estetyczne tegoczesności z tem, co zawierała twórczość Schillera.

Realizm literatury drugiej połowy XIX stulecia lubował się w odtwarzaniu rzeczywistości, codziennego bytu — Schiller marzył o sztuce, którąby opisywała:

> das grosse, gigantische Schicksal,
> Welche den Menschen erhebt, wenn es den Menschen
> zermalmt.

Realizm dawał drobiazgowy rozbiór stanów psychicznych — Schiller szukał wielkiej linii, wielkich czynów, wielkich, wyjątkowych „bohaterów."

Realizm dobierał sposoby wysłowienia jak najnaturalniejsze — Schiller w bujnych, ozdobnych okresach stwarzał patetyczną mowę wierszowaną.

Nowa sztuka dążyła do wytworzenia nastroju — Schiller namiętności.

Nowa sztuka uzewnętrzniała otoczenie, uwzględniała stany poprzedzające akcyę dramatyczną, czy powieściową— dążnością zaś Schillera było stworzenie człowieka, działającego zewnętrznie, przyczem niepotrzebnem było podawanie podścieliska psychicznego, na którem owo działanie się opierało.

Nowa sztuka dąży do różnicowania indywidualności — Schiller do ogniskowania ich w typy.

Różnice mnożą się. Dokładna, spokojna i pozbawiona zaślepienia szowinistycznego krytyka musi nam wyjawić powody, dla których Schiller stał się obcym współczesnemu pokoleniu niemieckiemu. Że stało się to dopiero teraz i że dopiero teraz ogół to sobie uświadomił, przypisać to należy wpływowi głośnego imienia na bezkrytyczne mózgi. Dla wybitnych indywidualności artystycznych nie było to już i dawniej tajemnicą. Wszak i Kleist i Grillparzer i Hebbel i Novalis i Grabbe zaczęli od entuzyastycznego uwielbienia poezyi schillerowskiej a skończyli na otwartym buncie przeciw swemu dawnemu mistrzowi!

Stosunek współczesnego pokolenia do Fryderyka Schillera jest dlatego tak cha-

rakterystycznym i ciekawym, że wykazuje dobitnie, w jak szybkiem tempie ewolucya kulturalna naprzód się toczy i jak wielkie zmiany poglądów w krótkim stosunkowo czasie zdolna jest przeprowadzić.

Bertold Merwin.

Notatki literackie i artystyczne

— Kazimierz Tetmajer: „Na skalnem Podhalu", II, pierwszy tysiąc, str. 240, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Borys Żaba: „Poezye," str. 106, Lwów, ks. Altenberga.

— Zdzisław Dębicki: „Święto kwiatów", poezye, Lwów, nakł. Tow. wyd. Warszawa, Sadowski.

— Włodzimierz Lewicki: „O inne życie," Pieśń, Południca, Vigilando, Ku szczytom. Kraków, nakł. [illegible]

— Oskar Wilde: „Salome," tragedya, tłom. Fromo[illegible]

— St. Korczak: „Wieczornica wołyńska," opowiadania i pieśni, nakł. autora.

— W. Feldman: „Życie", sztuka w 4 aktach; nakł. Altenberga, Lwów.

— S. Najdienow: „Dzieci Waniuszyna," dramat przełożył H. Zbierzchowski, nakł. Altenberga.

— J. Gordon: „Kaukaz," czyli ostatnie dni Szamyla, powieść historyczna, skł. Wende.

— Bolesław Goreczyński: „Gwiazdka błysnęła," obrazek sceniczny, nakł. Gebeth. i Wolffa.

— Edward Paszkowski: „Jasne wody," powieść, Lwów, nakł. Tow. Wyd.

— Józef Maciejowski: „Opowiadanie," Kraków, Gebethner i Wolff.

— Stefania Laudynowa: „Bez słońca," dramat w 5 ak. Skł. Wende.

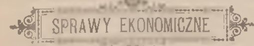
— L. Andrejew: „Milczenie" i inne nowelle. Tłom. H. i J. Zbierzchowscy, Lwów, Nakł. Altenberga.

— H. Krzemieniecka: „Fatum," studyum psychologiczne, Warszawa J. Fiszer.

— M. Hertz. „Ananke," baśń dramatyczna, Gebethner i Wolff.

— H. Leszczyc: „Na wsi," powieść, Warszawa, Bor[illegible]

— H. Zbierzchowski: „Na złotej przełęczy," powieść, Lwów. Księg. Pol. Warszawa, Wende.



KAPITAŁ I PRACA
w Stanach Zjednoczonych

Powszechnem jest mniemanie, że kapitał i praca, to dwaj przeciwnicy, stale względem siebie wrogo usposobieni, że tylko dobrze zorganizowane związki robotnicze mogą oprzeć się skutecznie uciskowi kapitału. Mamy więc syndykaty robotnicze i sądy rozjemcze, zmierzające do zabezpieczenia pracy od wyzysku. Państwo zaś bierze na siebie rolę pośrednika, usiłującego zapewnić obu stronom równy wymiar sprawiedliwości.

Olbrzymi rozwój przemysłu w Stanach Zjednoczonych stosunkom tym inną jednakże, niż w Europie, nadał postać. Tu obie strony w równych pod wieloma względami występują warunkach: naprzeciw zorganizowanego kapitału stoją potężne związki robotnicze. To też walka między obu zarysowała się odmiennie i zdumiewająco. Państwo nie miesza się do niej wcale. Indywidualizm amerykański nie zniósłby tego. A że nic tu nie robi się przez pół, więc obraz, który M. Faguet przedstawił czytelnikom w nr. 13 *La Revue*, sprawia chwilami wrażenie jakiejś bajki o rozbójnikach.

Nigdzie organizacya pracy i kapitału nie zaszła tak daleko, jak w Chicago. Niema tu już wcale t. zw. *scobs*, tj. robotników pracujących niezależnie. U każdego z nich w kieszeni karta członkowska, a przy czapce lub w dziurce od guzika znak syndykatu, do którego należy. Ten ruch w kierunku tworzenia związków robotniczych sami pracodawcy popierali bardzo usilnie. Zobaczymy niżej, w jakim celu.

Silnie zorganizowana praca zmusiła przemysłowców i przedsiebiorców wszelkiego rodzaju do zaprzestania współzawodnictwa i połączenia się w celach wzajemnej obrony. Powstały więc stowarzyszenia. Każdemu syndykatowi robotniczemu przeciwstawiono odpowiedni związek kapitalistów, syndykatowi mularzy np. — stowarzyszenie przedsiebiorców budowlanych, syndykatowi woźniców, rozwożących węgiel — związek handlarzy węgla itp.

Walka, której można się było spodziewać, nie okazała się straszną i nie trwała długo. Przeciwnicy porozumieli się wprędce i zawarli pokój, naturalnie kosztem publiczności. Zbliżyło ich przeświadczenie o konieczności usunięcia wszelkiego współzawodnictwa. Dość jeszcze bowiem było przemysłowców, którzy nie chcieli przystąpić do związku i robotników, którzy woleli pracować niezależnie, po za obrębem syndykatu. Jednych i drugich postanowiono pozbawić tej wolności. I oto jak dokonano swego.

Syndykat rozwożących węgiel prowadził wojnę ze stowarzyszeniem handlarzy węglem, do których należały wozy i konie. Publiczność wychodziła na tem dobrze: dostawała węgiel tanio. Ale walka dla obu przeciwników okazała się za kosztowną, więc przewodniczący obu stron zebrali się i zawarli układ tajemny, mocą którego kupcy zobowiązali się przyjmować tylko woźniców należących do syndykatu, a woźnice pracować tylko u handlarzy stowarzyszonych. Kupcy niezależni nie mogli dostać robotników niezależnych, a jeśli ci się zgłaszali, należący do syndykatu brali ich zaraz w swe obroty i póty ćwiczyli kijem, póki nie nauczyli solidarności i posłuszeństwa. Świetną tę metodę ilustruje odpowiedź sekretarza syndykatu, daną jednemu z reporterów na zapytanie, czy są jeszcze w Chicago woźnice, nienależący do syndykatu: „Nie znam takich, ale jeśli są, to chyba w szpitalu."

Zabezpieczywszy się w ten sposób od współzawodnictwa, handlarze węglem podnieśli cenę jego o 40%, a woźnice swe wynagrodzenie w odpowiednim stosunku. W r. 1903 ci ostatni zarabiali od 125 do do 170 franków tygodniowo.

Tymczasem dowiedzieli się oni, że niektóre wielkie hotele i olbrzymie 20-piętrowe domy, zwane „drapaczami nieba," były oświetlone, a nawet prowadziły kuchnie na gazie naturalnym, kanałami podziemnymi dochodzącym ze stanu Indiana. Natychmiast syndykat wyprawił do właścicieli tych domów i hotelów delegata z żądaniem, aby zaniechali używania gazu, który nie był wyrabiany w Chicago. Jedni ulegli, drudzy próbowali się opierać, lecz nadaremnie: zagrożeni przerwaniem kanałów gazowych, musieli przyjąć węgiel, ofiarowany im przez sprzymierzonych.

Woźnice prócz tego postanowili ostatnimi czasy nie roznosić węgla w workach, gdyż uznali tę formę dostawy za zbyt brudzącą dla pracowników związkowych. Zrzucają całą zawartość wozu na chodnik, a inny robotnik przychodzi znieść ją do piwnicy.

Za przykładem węglarzy stowarzyszenie handlujących nabiałem weszło w układ z syndykatem rozwożących mleko. Rezultatem ugody było postanowienie niedostawiania mleka konsumentom dwa razy dziennie, gdyż to uznano za zbyt męczące, abezpośredniem i natychmiastowem następstwem urzeczywistnienia tej rezolucyi wzmożenie się śmiertelności wśród dzieci. Rada zdrowia miasta Chicago zaprotestowała przeciw tej nieludzkości sprzymierzonych, bez skutku jednak, gdyż nowy porządek dogadzał interesom kapitału i pracy.

Stowarzyszenie przedsiebiorców robót cynkowych i blacharskich związało się też ścisłą umową z syndykatem robotników w tej gałęzi. Bez takiego związku nie może dziś być mowy o jakiejkolwiek pracy. I tu zaraz się przekonamy, jak umiano wyzyskać nowe warunki. Wyżej wspomniane stowarzyszenie posiada swego szpiega w biurze każdego budowniczego w Chicago. Jeśli się dowie, że są jakieś roboty, których można podjąć się z korzyścią, dajmy na to, za 50,000 fr., kierownicy Tow. zbierają się na naradę i postanawiają, że jeden z nich zażąda 70,000 fr., a inni 80, 90, 100 tys. Roboty więc zostaną oddane żądającemu 70,000, z których on otrzyma tylko 50,000, a 20,000 pójdzie do podziału między stowarzyszonych. A robotnicy na co im w tem potrzebni? Rzecz prosta, zdarzyć się może, że przedsiebiorca prywatny podejmie się robót za niższą cenę, wówczas stowarzyszenie zawiadamia o tem syndykat robotniczy, a ten nakazuje wszystkim ludziom, co do jednego, opuścić natychmiast pracę.

W innym wypadku jeden z członków Stowarzyszenia przedsiebiorców mularzy zachował stosunki, z którąś z cegielń niezależnych w Indianie. Budując dom używał cegły z tej cegielni. Dowiaduje się o tem Stowarzyszenie i zawiadamia syndykat robotników mularskich. Natychmiast wszyscy mularze, pracujący przy budowie tego domu, zawiesili pracę. Przedsiebiorca w rezultacie musiał się wyrzec swoich cegieł i w dodatku zapłacić karę: po 5 franków od każdego tysiąca zużytkowanych, rad, że nie potrzebował rozwalać wszystkiego, co już zrobił.

Z powyżej przytoczonych przykładów widzimy jasno, że celem związków syndykatów robotniczych ze stowarzyszeniami przedsiebiorców jest ustanowienie monopolu. Dlatego, dla zabicia wszelkiego współzawodnictwa ze strony pracodawców niezależnych potrzebują się one wzajemnie.

Co zaś do walki pracy z kapitałem, to w San-Francisco np. rzecz się tak miała. Wskutek wielkiego napływu kapitałów w świecie przemysłowym i handlowym wytworzył się tu duży ruch po wojnie z Hiszpanią, co znowu naturalnym biegiem rzeczy pociągnęło za sobą wielkie bezrobocia. Syndykaty robotnicze widziały jasno, że dopóki istnieć będą robotnicy niezależni, ich wysiłki w walce z pracodawcami do niczego nie doprowadzą. Postanowiły przeto za jaką bądź cenę wyrzucić *scobs* (niezależnych) z San-Francisco. Pracodawcy probowali ich obronić, ale uczynili to niezręcznie: wezwali pomocy policyi. Syndykaty więc podczas wyborów wytoczyły swoją sprawę przed forum zgromadzenia ludowego, które znaczną większością głosów wyniosło na stanowisko mera miasta niejakiego Schmidta, członka syndykatu, flecistę orkiestry, grywającej co wieczór w jednej z kawiarń. Ze Schmidtem na czele syndykaty osiągnęły swój cel i usunęły z miasta wszystkich robotników niezależnych.

Opanowawszy w ten sposób rynek, podniosły zaraz wynagrodzenie robotników z 30 do 100%. W jesieni 1904 r. cieśle zarabiali w San-Francisco dziennie najmniej 20 fr., mularze 30 fr., a zwyczajny robotnik do 17 fr. 50 cent. przy ośmio-godzinnym trybie zajęć. I tam, gdzie życie było prawie najtańsze ze wszystkich miast Stanów Zjednoczonych, zarobki okazały się największe.

Dziennik Kalifornijskich *The Times*, jedyny, który zatrudnia jeszcze drukarzy

niezależnych, wystąpił do walki z syndykatemi. Syndykat drukarzy wydał już dla zabicia *Timesa* 250,000 fr. dostarczanych mu przez wszystkie w Stanach Zjednoczonych Syndykaty drukarskie. Zabroniono pomieszczać w nim ogłoszeń, fabrykanci pewnego lekarstwa otrzymali przeszło milion listów, grożących im bojkotem, jeśli będą ogłaszać się w *Timesie*. Kantory zostały uprzedzone, że nie dostaną żadnego innego pisma, jeśli będą przyjmować *Times*. Wyklęty dziennik natomiast poparli wszyscy niezależni wszelkich kierunków. Ciężko jednak walczyć z tak zorganizowanym przeciwnikiem.

— Niebezpieczeństwo podobnych stosunków nie uszło uwagi samych jego sprawców. Syndykaty przeprowadziły głosowanie i zatwierdziły uchwałę, zabraniającą dalszego podnoszenia stopy wynagrodzenia; przedsiebiorcy bowiem i właściciele zaniechali wszelkich robót. Uchwała jednak nie zapobiegła wzrastaniu ceny pracy.

(D. n.).

NA MARGINESIE.

Mleko i jego ofiary. Mleko dzisiejsze, jak twierdzą lekarze francuscy Meunier, Guinon i Romme (*La Revue* nr. 13), utraciło w znacznym stopniu dobroć swą naturalną. Podlegało ono zawsze fałszowaniu, dobieraniu wodą, zawsze roiło się w niem od mikrobów, ale przynajmniej krowy, które je dawały, wypędzano w pole na paszę, żywiono naturalnie trawą. Mleka było mniej, ale było ono lepsze i zdrowsze. Dziś wskutek zwiększonego zapotrzebowania wzrosła w czwórnasób produkcya jego, choć ilość krów pozostała ta sama. Ten nadmiar osiągnięto przez pomieszczenie krowy w warunkach sztucznych, pozbawiając ją swobody przebywania na pastwisku, na słońcu, zamykając w ciepłej i ciemnej oborze, karmiąc wytłoczynami z buraków, słodzinami, makuchami i tym podobnie przyprawionem pożywieniem. Taki tryb życia sprowadza na biedne zwierzę różne dolegliwości, choroby skórne i wewnętrzne, czyni jednak z niego istny mlekotrysk, dający do trzydziestu kwart dziennie.

Ale to mleko nie jest zdrowe, a jako produkt warunków sztucznych, nie może też być smaczne. W Nicy kilka miesięcy temu wybuchła między dziećmi epidemia cholery, której przyczyną po zbadaniu okazało się mleko, pochodzące od krów żywionych słodzinami i wytłoczynami. Dr. Demme z Akademii medycznej w Paryżu dowiódł też cyframi, że dzieci, karmione mlekiem krów sztucznie żywionych, rozwijają się daleko powolniej, chorują częściej i umierają liczniej. W szczególnie niekorzystnych pod względem zdrowotnym warunkach znajduje się mleko z tak zwanych „mleczarni centralnych,“ gromadzących produkt licznych gospodarstw. Przechodząc przez wiele rąk, zanim dojdzie do ostatnich, przelewane z naczynia do naczynia, staje się w końcu zbiorowiskiem miliardów mikrobów szkodliwych dla zdrowia spożywców. Sterylizacya, która zabija te mikroby, niszczy jednocześnie ułatwiające trawienie kwasy, zawarte w świeżem mleku, przetwarza materye białkowe i z pokarmu żywego i odżywiającego czyni martwy wytwór chemiczny. Większość dzieci przyzwyczaja się doń łatwo i rozwija prawidłowo; zdarzają się jednak wypadki poważnych zaburzeń, spowodowanych w organizmie dziecięcym przez mleko sterylizowane: rodzaj szkorbutu, niezmiernie trudny do rozpoznania, który dr. Barlow opisał kilka lat temu. Dziecko wygląda dobrze, lecz zaczyna kaprysić, krzyczeć i nie pozwala się dotknąć. Wezwany lekarz stwierdza zajęcie rączki, nóżki lub obu naraz, przypuszcza reumatyzm i przepisuje odpowiednie leczenie. Dziecku jednak nie lepiej, zaczyna chudnąć, nie chce ssać smoczka, krzyczy i w oczach niknie. Jeśli się uda wówczas trafić na lepszego dyagnostyka, który mleko sterylizowane każe zastąpić mlekiem kozy lub świeżem od krowy, dawać dziecku jarzyny, mięso siekane, sok z pomarańczy—jednem słowem pokarmy żywe, to wówczas malec w przeciągu tygodnia, dwu wraca zupełnie do zdrowia. Trzeba jednak przyznać, że tego rodzaju wypadki, jak powyższy, bywają niezmiernie rzadkie i że mleko sterylizowane jest wogóle najlepszem pożywieniem dla niemowląt wychowywanych na butelce.

Po za tem w kwestyi mleka zachodzi inne jeszcze nieporozumienie. Ponieważ jest to płyn, więc nie ustaliło się przekonanie, czy należy uważać je za *napój*, czy za *pożywienie*, choć wszyscy wiemy, że tak dziecko, jak dorosły może karmić się niem wyłącznie. Lekarze dowodzą nam, że jadamy zawiele, że podagra, reumatyzm, wapnienie naczyń krwionośnych, ekzema są następstwem przekarmiania się mięsem. A mleko, którego każą nam używać za napój, to przecież mięso w stanie płynnym; zawiera ono ciała białkowe, tłuszcze, a nawet cukier i sole mineralne. Jest więc pożywieniem najzupełniej i w dodatku pożywieniem typowem. Nadużywającym go w tym samym stopniu, co przekarmianym mięsem, grozi niestrawność. Dzieci napozór tłuste i zdrowe będą mieć język obłożony, częste wzdęcia i duży brzuszek, a w ostatecznym wyniku ekzemę lub jakąś inną chorobę skórną. Bywa jednak i gorzej. W razie silnych zaburzeń kiszkowych lekarz skazaje często takie dziecko na żywienie wyłącznie mlekiem. Jeśli to się zdarzy podczas upałów letnich, a mleko w dodatku nie jest zupełnie dobre, to gorączka się wzmaga, występują konwulsye, wzdęcie brzuszka—objawy tak zwanej *cholery suchej* i dziecko umiera w przeciągu 24 godzin.

Wogóle ludzie zdrowi, czy chorzy nie umieją spożywać mleka. Dziecko, które je ssie z butelki, zanim połknie, miesza z śliną, ułatwiającą trawienie, dorośli wprowadzają je do żołądka odrazu i w dużej ilości. Niedostatecznie wskutek tego przerobione przez kwas żołądkowy, przechodzi ono do kiszek, gdzie wytwarza różne szkodliwe połączenia chemiczne. Jeśli wątroba i nerki funkcyonują prawidłowo, trucizny te zostaną zwalczone i usunięte, w przeciwnym razie organizm znajdzie się w stanie zagrożonym.

Pamiętać więc należy, że mleko jako pożywienie białkowe nie może być używane za napój, gdyż w razie przeładowania niem żołądka sprowadzi tak samo dla zdrowia szkodliwe następstwa, jak każde przekarmienie.

Z PRASY

— Z powodu okrucieństw, jakich Japończycy mają dopuszczać się nad rannymi Rosyanami, dobijając ich po bitwie, gaz. *Nowosti* przytoczyła dwa głosy „ludzi kompetentnych i zasługujących zupełnie na wiarę,“ którzy odrzucają kategorycznie wszelkie posądzenia, padające w tym względzie na żołnierzy japońskich. Na szczególniejszą uwagę zasługuje głos generała A. A., który dopiero co wrócił do Petersburga, przebywszy 4 miesiące na terenie wojny i biorąc osobisty udział w wielu potyczkach i większych bitwach.

Generał A. oddaje wielkie pochwały moralnej stronie żołnierza japońskiego, który „nie byłby w stanie dobijać rannych.“

„Któż w takim razie męczy bezlitośnie rannych żołnierzy i zohydza zwłoki poległych?— zapytuje gen. A.

Niestety, w szeregach armii japońskiej, jak obecnie stwierdzono w sposób urzędowy, znajduje się mnóstwo elementów rozkładowych: entuzyaści korejscy, chińskie wyrzutki społeczne i chunchuzi. Wszyscy oni trzymają się armii japońskiej w widokach korzyści osobistej. Japończycy najczęściej posługują się nimi przy wywiadach, ponieważ do walki są zupełnie niezdolni: są w równym stopniu tchórzami i niekarnymi.

Ciemną nocą skrada się Chińczyk na pole bitwy. W rękach trzyma ślepą latarkę i nóż. Cicho i ostrożnie brodzi ów maruder pomiędzy trupami obrońców, starannie przetrząsając kieszenie. Jeśli poszukiwania nie dadzą pożądanych rezultatów, wówczas bierze na pamiątkę nos i uszy, albo żgnie nożem lub innem ostrem narzędziem. Tak się działo podczas kampanii chińskiej; to samo dzieje się obecnie.

Żołnierz japoński jest bohaterem — lecz nie zwierzęciem. Chińczyk, naodwrót, jest tchórzem i odznacza się okrucieństwem. Z innymi obchodzi się w ten sam sposób, jak obchodzono się z nim, tj. okrutnie. Straszne kary w Chinach są rzeczą zwykłą, codzienną.

Zwracam uwagę, że obracam się w przypuszczeniach. Lecz przypuśćmy nawet, że okrucieństwa dopuścił się nie Chińczyk, lecz żołnierz japoński.

Dopóki są to fakty sporadyczne, niema dostatecznych podstaw do bicia na trwogę. Przecież wojna jest właśnie dlatego tak straszną, że wszystkie złe instynkty ludzkie wypełzają z dna duszy i znajdują sobie ujście podczas zamętu wojennego.

Spity krwią, ogłuszony hukiem strzałów armatnich, oślepiony ogniem dział, zezwierzęciały z bólu i strachu o życie, nietyle własne; ile drogich towarzyszów broni i ukochanych wodzów — żołnierz w bitwie jest prawie oszalały. Uświadamia sobie jedno, jedyne: trzeba bić i unicestwić jak największą liczbę wroga. I czyni to z bezwiedną furyą. Opowiadali mi ludzie, którym wierzę najzupełniej, przez jakie wrażenia przechodzili oni podczas bitwy.

„Kolumna szła do ataku. Naokół, gdziekolwiek zwrócisz oczy, widnieją atakujące kolumny, trupy, rozlegają się jęki rannych, prośby o ratunek, okrzyki bólu i rozpaczy. Znajdowaliśmy się w szeregach dalszych, kiedy przyszła kolej na nasz oddział, rozpoczęliśmy walkę na bagnety, ciągnącą się zazwyczaj kilka, najwyżej kilkanaście minut. Nie mogliśmy w niej brać udziału, znajdowaliśmy się bowiem z tyłu. I oto, kiedyśmy dosięgli wreszcie terenu walki, musieliśmy się powstrzymać całą siłą woli, aby nie kluć leżącego u naszych nóg nieprzyjaciela, tak wielką była u nas żądza krwi. Czego musi doświadczać w takim razie prosty żołnierz, w którym owo pożądanie krwi zaćmiło rozsądek?“

I wobec tego — kończy generał A. — nie można z takiem lekkiem sercem rozstrzygać spraw podobnych, a tembardziej zwalać winy na całą armię i naród.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Kur. Warsz.* donosi: Ministerynm skarbu zamierza zorganizować asekuracyę rządową z udziałem skarbowych kas oszczędności. W powyższej sprawie tutejsze kasy oszczędności przy filiach Banku państwa już otrzymały niektóre szczegółowe wskazówki, ponieważ po utworzeniu przy nich oddziałów asekuracyjnych ulegną one częściowemu przekształceniu i będą przemianowane na kasy oszczędnościowo-asekuracyjne. Program działalności kas jest dość rozległy i przewiduje asekuracye robotników, asekuracye na życie, w wypadkach poszczególnych lub zbiorowo całych grup, składających się z pracowników, robotników lub uczestników jakiegobądź przedsiebiorstwa albo towarzystwa. Następnie kasy będą zajmowały się asekuracyą kapitałów na dożywocie, na emeryturę itd. Ogólna suma kapitału zaasekurowanego na wypadek śmierci lub na dożywocie jednej osoby nie może przewyższać 5,000 rb., a wysokość emerytury 600 rb. rocznie. Jednocześnie kasy będą podejmowały się wypłaty emerytury, wyznaczonej przez różnego rodzaju instytucye, zakłady przemysłowe i handlowe, a także będą przyjmowały na siebie część ryzyka takiej asekuracyi.

— W Kielcach założone będzie Tow. lekarskie z oddziałem Tow. hygienicznego.

— Wychodząca we Władywostoku gazeta *Dalnij Wostok*, zamieściła pod datą d. 10 czerwca poniższy rozkaz, mający obowiązywać w twierdzy władywostockiej. „Celem zaprowadzenia jednolitej i surowszej cenzury telegramów, wysyłanych z terytoryum, objętego twierdzą, wszystkie bez wyjątku telegramy prywatne, otrzymywane do wysłania przez miejscowe instytucye pocztowo-telegraficzne, mogą być przyjmowane przez nie o tyle, o ile będą posiadały podpis i pieczęć sztabu fortecznego lub też sztabu dowódcy floty. Telegramy prywatne, opatrzone jedną tylko pieczęcią instytucyi zarządu wojennego i morskiego, w żadnym razie przyjmowane nie będą.“

— W Borysławiu, w Galicyi, robotnicy w kopalniach nafty zaprzestali pracować, żądając podwyższenie płacy; pracodawcy wydali odezwę, że nie ustąpią od warunków dotychczasowych. Dla zebrania wydobywającej się ropy sprowadzono 5 batalionów piechoty i oddział saperów.

— Policya pruska wydaliła z Poznańskiego hr. Pinińskiego, artystę-malarza p. J. K. Stokłosińskiego i bar. Horocha.

— W roku zeszłym wyemigrowało do Ameryki z granic Rosyi europejskiej 77,047 Polaków i 76,205 Żydów.

Szkoły i wychowanie. Specyalna komisya, złożona z przedstawicieli ministeryów skarbu, oświaty i spraw wewnętrznych obraduje nad sprawą obowiązkowego nauczania szkolnego dzieci robotników fabrycznych.

— W r. b. urządzone będą przy seminaryum nauczycielskiem w Łęczycy kursa pedagogiczne dla nauczycieli ludowych, na które mogą wstępować młodzieńcy w wieku 16—19 lat, po ukończeniu z powodzeniem całkowitego kursu w szkołach miejskich typu 1872 i 1877 r., powiatowych i duchownych, oraz ci, którzy otrzymali wykształcenie w innych zakładach szkolnych w zakresie wyżej wspomnianym. Kurs trwają rok. Nauka jest bezpłatna. Lekcye zaczną się d. 5 września. Podania o przyjęcie z odpowiednimi dokumentami należy składać u inspektora-dyrektora wymienionego seminaryum.

— Według dokonanego badania stanu zdrowia uczniów V gimnazyum męzkiego, na ogólną liczbę 478 stan zupełnie zadawalający stwierdzono u 81 uczniów, zadawalający u 202, średni u 138 i słaby u 57; wśród nich jest 60 rachitycznych, 178 anemicznych i 18 skrofulicznych.

— Wydział szkół przemysłowych ministeryum oświaty zawiadamia, że nauczyciele arytmetyki i języka rosyjskiego w niższych szkołach rzemieślniczych nie podlegają czynnej służbie wojskowej, lecz zaliczeni są do rezerwy.

— Zapisy do Akademii roln. w Dublanach trwać będą do d. 15 września. Początek kursu 23 września. Kurs trzyletni, oparty z jednej strony o bardzo bogate zbiory i pracownie naukowe, ogród botaniczny, pola i stacye doświadczalne, z drugiej o folwark z wzorowem gospodarstwem, dobrą gorzelnią itp. Warunki przyjęcia: egzamin dojrzałości, w wyższem gimnazyum lub w wyższej szkole realnej. Przy wpisie potrzebne są dokumenty: metryka, dowodząca, że kandydat ukończył 18 rok życia, świadectwo szkolne, świadectwo moralności za czas wystąpienia ze szkoły i świadectwo zdrowia, potwierdzone przez lekarza zakładowego. Wszyscy uczniowie obowiązani są mieszkać w domu zakładowym. Całoroczne utrzymanie wraz z opłatą szkolną wynosi 950 koron.

Wiadomości naukowe. Od 14 do 19 sierpnia obradować będzie w Bernie szwajcarskim VI międzynarodowy kongres zoologów. Zgłoszenia przyjmuje prezes komitetu, S. Studer (Bern, Weisenhausstrasse).

Zdrowie publiczne. Wydział kąpieli ludowych w Warszawie zgodził się wydawać 46,800 kąpieli dla uczniów szkół miejskich pod warunkiem wyjednania na ten cel 2,000 rb. zapomogi.

— Epidemia ospy szerzy się w Warszawie i okolicach podmiejskich, wśród siedzib letniczych.

— W *Gaz. Pols.* czytamy: Krakowskie Towarzystwo lekarskie „Samopomoc“ zwróciło się do wszystkich lekarzy z prośbą, ażeby w każdej poczekalni doktorskiej umieszczono napis, iż pacyenci obowiązani są uiszczać honorarya otwarcie, nie zaś, jak to obecnie się dzieje, ukradkiem, przy wyjściu itp W odezwie powiedziano, że „uiszczanie zapłaty za poradę lekarską nie jest niczem ubliżającem, nie jest też to rodzaj napiwku, lecz zarobek słusznie się należący za uczciwą pracę.“

Ze sztuki. Zarząd strogonowskiej szkoły centralnej artystyczno przemysłowej w Moskwie ogłosił konkurs na projekty z zakresu sztuki stosowanej do przemysłu, a mianowicie: na projekt portyery do drzwi oraz okien, żelaznych krat z bramą wjazdową i przyboru piśmiennego (cały z bronzu) na biurko męzkie, z lampą bronzową do oświetlenia elektrycznego. Termin do 15 listopada r. b. Szczegółów udziela Tow. Zachęty w Warszawie.

— Dom Matejki w Krakowie przeszedł na własność miasta.

Sprawy ekonomiczne. Rzemieślnicy z Królestwa Polskiego wnieśli do ministeryum spraw wewnętrznych podanie o pozwolenie utworzenia Towarzystwa w celu nabywania materyałów surowych dla swych członków.

— Przy końcu sierpnia odbędzie się w Ostendzie międzynarodowa wystawa sztuki, strojów, robót kobiecych oraz związanych z niemi przemysłów tudzież hygieny i artykułów spożywczych. Okazy nadsyłać można do 15 sierpnia r. b. Szczegółów udziela Tow. pop. przem. i handlu w Warszawie.

Poczta. Od dnia 14 lipca zaczęła obowiązywać strefowa taksa opłaty wagowej od przesyłek pocztowych.

— Główny zarząd poczt i telegrafów zawiadomił tutejsze zarządy pocztowe, pograniczne, że wszystkie listy, podlegające rewizyi celnej, w razie znalezienia w nich druków w języku rosyjskim lub arkuszy hektografowanych i litografowanych, nie powinny być wysyłane według adresu, lecz zwracane do tych miejscowości zagranicznych, z których je wysłano.

Pożary. W ostatnich czasach spaliła się prawie doszczętnie osada Przysucha w pow. Opoczyńskim; 58 domów mieszkalnych i tyleż zabudowań gospodarczych w os. Annopolu, pow. Janowskim; 54 nieruchomości w Wierzbicy, gub. Radomskiej; 60 domów w miasteczku Troszkunach, pow. Wiłkomierskim; 82 domy we wsi Jaruntowie, gub. Kieleckiej; 60 domów w Swanowicach, tejże gub.; 170 zabudowań w Małogoszczy, pow. Jędrzejowskim; prawie doszczętnie wieś Iwanowice, w gub. Kaliskiej; 14 domów w Jędrzejowie; 20 dziesięcin lasu przy plancie kolei Dąbrowskiej w gub. Kieleckiej.

Zmarli. Adolf Mostowski, poeta i komedyopisarz, w Mytniku, gub. Podolskiej.

Odpowiedzi Redakcyi.

Praktykantowi. Nie do druku. Źle napisane.

W. Sieroszewskiego

Brzask

Puszcza Białowieska

Grecka szczelina......

Dno nędzy..............

Nakładem Autora.
Wydanie drugie.
Cena rb. 1 kop. 20. SKŁAD GŁÓWNY w Administracyi „Prawdy.“
Można dostać w każdej księgarni.

OGŁOSZENIA.

Do sprzedania z powodu wyjazdu **Fortepian** MAŁECKIEGO, krótki, w doskonałym stanie, o bardzo przyjemnym tonie. — Wiadomość w Redakcyi „Prawdy.“

PISMA
Aleksandra Świętochowskiego:

Tom I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 k. 50** (wyczerpany)
Tom II: Tragikomedya prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona.—Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb. 1 k. 20** (wyczerpany).
Tom III: Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Asbe. **Rb. 1 kop. 20.**
Tom IV: Piękna, Aspazya. **Rb. 1 kop. 50.**
Tom V: Trylogia Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aureli Wiszar, Regina. **Rb. 1 kop. 50.**
Tom VI: Antea, Na targu, Helwia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. **Rb. 1 kop. 20** (wyczerpany).
Tom VII: Duchy, trzy części. **Rb. 1 kop. 60.**
Do nabycia w Administracyi *Prawdy.*

Stancya dla uczniów opieka troskliwa, życie dostatnie i zdrowe, warunki przystępne. Żórawia 21, m. 9.

Wyszło w czterech odzielnych częściach dołączane w dodatku kwartalnym do „PRAWDY“ dzieło p. t.:

Wiek XIX

Zagadnienia moralne: A. Darlu: *Klasyfikacya współczesnych idei moralnych.* — P. L—e: *Rodowód idei sprawiedliwości i dobra.* — G. Belot: *Zbytek.* — H. Höffding: *Rodzina.*
Cena kop. 60, z przesyłką rekomend. 75 kop.

Wiek cudów ALFREDA WALLACE'A (tłom. z angielskiego).
Cena 90 k., z przesyłką rekom. 1 rb. 10 k.

Ekonomia i Socyologia w opracowaniu Dr. S. GRABSKIEGO i Dr. K. KRAUZA. Cena 60 kop., z przes. rekom. 75 k.

Historya polityczna, rys dziejów stulecia, w opracowaniu H. GALLEGO. Cena 50 kop., z przesyłką rekom. 65 k.

Skład główny w Administracyi „Prawdy,“ Sadowa 14.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 9 Іюля 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8